

Bradford Barbara Taylor

Potajemny romans

Bill Fitzgerald, znany korespondent wojenny amerykańskiej telewizji, wyczerpany pobylem w rozdzieranej wojną Bośni, przyjeżdża do Wenecji. Pewnego deszczowego wieczoru spotyka piękną ciemnowłosą Amerykankę, Vanessę Stewart, utalentowaną projektantkę szkła artystycznego. Przypadkowa znajomość przeradza się w głębokje uczucie. Jednak Vanessa jest mężatką, a Bill podróżuje po całym świecie. Przygotowuje reportaż o terrorystach, wreszcie jedzie do Bejrutu. Vanessa, pełna niepokoju, czeka na niego w Wenecji, Bill się nie zjawia...

Rozdział 1

SARAJEWO, sierpień 1995

W chwili kiedy zamykał na małą kłódkę podłużną płócienną torbę, nastąpił ogłuszający wybuch. Gwałtownie podniósł głowę i zaczął bacznie nasłuchiwać, spodziewając się kolejnej eksplozji, ale nie nastąpiła. Wokół panowała cisza.

Bill Fitzgerald, główny zagraniczny korespondent CNS, amerykańskiej informacyjnej stacji telewizyjnej, włożył kuloodporną kamizelkę i pospiesznie wyszedł z pokoju.

Zbiegł po schodach na dół, minął przestronny dziedziniec i tylnymi drzwiami opuścił hotel Holiday Inn. Front budynku wychodził na tak zwaną Aleję Snajperów i od czasu wojny nikt nie korzystał z głównego wejścia.

Było zbyt niebezpieczne.

Bill podniósł oczy i uważnie przyjrzał się niebu. Miało łagodną, błękitną barwę i z wyjątkiem nawisłych białych chmur było całkiem czyste. W zasięgu wzroku nie pojawiły się samoloty bojowe.

Ulicą pędził opancerzony land rover. Z piskiem hamulców zatrzymał się tuż przy nim.

Za kierownicą siedział stary przyjaciel Billa, dziennikarz brytyjski Geoffrey Jackson, który pracował dla „Daily Mail” .

- Wybuch nastąpił gdzieś w tamtym rejonie - wyjaśnił Anglik, wskazując kierunek. - Chcesz, żebym cię tam podwiózł?

- Dzięki, Geoff - powiedział Bill, sadowiąc się w samochodzie.

Potajemny romans

Gdy mknęli w głąb ulicy, zastanawiał się, co mogło spowodować eksplozję.

- Jest wielce prawdopodobne, że to Serbowie od strony wzgórz - wyraził na głos swoje domysły.

- Raczej pewne. Ulokowali się tam na dobre. Spójrzmy prawdzie w oczy: nigdy nie przestaną atakować miasta. To strzelanie z zasadzki do cywilnej ludności działa mi na nerwy. Nie mam ochoty zginąć od zbląkanej kuli podczas relacjonowania przebiegu tej cholernej wojny.

- Ani ja.

-Gdzie się podziała twoja ekipa? - spytał angielski dziennikarz, uważnie spoglądając przez przednią szybę i modląc się w duchu, by nie mieli większych kłopotów.

- Pojechali wcześniej zbadać teren, a ja w tym czasie spakowałem bagaże. Wyruszamy dziś do Włoch. Na tygodniowy wypoczynek.

-Ale z was szczęściarze! Czy nie moglibyście zabrać mnie ze sobą w charakterze tragarza? - roześmiał się Geoffrey.

- Pewnie, dlaczegóż by nie? - zawtórował mu Bill. - Jedź razem z nami.

- Gdyby to tylko było możliwe, stary.

Kilka minut później Anglik zatrzymał pojazd nieopodal czynnego placu targowego.

- To tutaj spadła ta przeklęta bomba - zauważył, a na jego pogodnej zwykle twarzy pojawił się nagle ponury wyraz. - Czy ci cholerni Serbowie nigdy nie przestaną zabijać bośniackich cywilów? To gangsterzy! Nie sposób ich inaczej nazwać!

- Ty o tym wiesz. I ja. A także każdy dziennikarz na Bałkanach. Ale czy zachodni sojusznicy zdają sobie z tego sprawę?

-To banda idiotów, jeśli chcesz znać moje zdanie -stwierdził Geoffrey, zatrzymując land rover, z którego natychmiast obaj wyskoczyli.

- Dzięki za podwiezienie. Zobaczymy się później. Muszę odnaleźć swoją ekipę.

- Tymczasem, Bill. - Geoffrey zniknął wśród pobojuwiska Bill podążył za nim.

Wokół panował chaos.

Oszalali z trwogi ludzie biegali bez celu po targowisku. Zabudowania stały w słupach ognia. Billa uderzyła kakofonia dźwięków: ogłuszające huki towarzyszące waleniu się budynków, z których pozostawały tylko kupy gruzów; wrzaski przerażonych kobiet i malców; jęki rannych i umierających; zawodzenia matek pochylonych nad znieruchomiałymi dziecięcymi ciałkami.

Bill wdrapał się na wpółzburzoną ścianę domu, zeskoczył na drugą stronę i znalazł się w innej części placu. Rozejrzał się wokół, ze ściśniętym gardłem ogarniając wzrokiem masakrę. Widok był zatrważający.

Od dawna przekazywał relacje z barbarzyńskiej i okrutnej wojny na Bałkanach - z przerwami niemal już od trzech lat. Wciąż jednak nie mógł pojąć, dlaczego Ameryka toleruje to wszystko i zachowuje bierność, jak gdyby nic się nie działo. Fakt ten pozostawał dla niego całkowicie niezrozumiały.

Przeszedł go zimny dreszcz i zachwiał się na nogach, gdy mijał zanoszącą się od płaczu młodą kobietę kołyszącą w ramionach martwe dziecko; sącząca się krew wsiąkała w ciemną ziemię.

Na ułamek sekundy musiał zamknąć oczy, aby odzyskać równowagę i moc kontynuować wędrówkę. Był zagranicznym korespondentem, i to korespondentem wojennym, a do jego zadań należało rzetelne przekazywanie wiadomości. Nie mógł sobie pozwolić na to, żeby emocje wpływały na jego relacje i osądy; nie wolno mu było osobiście angażować się w opisywane przez siebie wydarzenia. Musiał pozostać bezstronny.

Czasami jednak nie potrafił zachować obojętności. Zbyt poruszał go bezmiar ludzkich cierpień. Tym bardziej że najciężej doświadczeni byli zawsze ci, co w niczym nie zawinili.

Rozglądał się, krążąc po placu: płonące domy, zniszczenia, znużeni, pokonani ludzie i ranni. Wzdrygnął się i zakasłał. Powietrze wypełniał gryzący, czarny dym, czuć było woń palącej się gumy i odór śmierci. Przystanął i jeszcze raz ogarnął wzrokiem teren, wypatrując członków swojej ekipy. Był pewien, że gdy tylko usłyszeli eksplozję, natychmiast przybyli na miejsce wybuchu. Musieli znajdować się gdzieś pośród tłumu.

10

W końcu ich zobaczy.

Kamerzysta Mike Williams i operator dźwięku Joe Alon-zo tkwili w samym środku sceny i filmowali ją w zapamiętaniu wraz z fotoreporterami i ekipami innych telewizji, które zjawily się niezwłocznie na miejscu tragedii.

Bill podbiegł do swoich współpracowników i zawołał, przekrzykując zgłęk:

- Co się tutaj, do diabła, stało? Kolejna bomba?

- Pocisk artyleryjski - odparł Joe, spoglądając na Billa.

- Jest dwudziestu, a może nawet trzydziestu zabitych.

- Prawdopodobnie więcej - dodał Mike, nie odwracając głowy i naprowadzając obiektyw kamery na dwóch oszołomionych i pokrwawionych malców, którzy zatrwożeni przywarli do siebie. - Na targu był dzisiaj wyjątkowo duży ruch

- stwierdził, przerywając filmowanie, i odwrócił wykrzywioną grymasem twarz w stronę Billa. - W chwili eksplozji przebywało tu mnóstwo kobiet z dziećmi. Wiele spośród nich zostało trafionych. Prawdziwe piekło.

- O Jezu - jęknął Bill.

- W miejscu wybuchu powstał olbrzymi lej - zauważył Joe.

Bill obejrzał się w kierunku* wyrwy i powiedział cicho, lecz stanowczo:

- Serbowie musieli wiedzieć, że na targu będzie dzisiaj tłoczno. Co za okrucieństwo!

-1 to kolejne - dorzucił sucho Mike. - Ale czego innego można się po nich spodziewać?

Korespondent skinął głową. Obaj z kamerzystą wymienili znaczące spojrzenia.

- Masakra cywilnej ludności... - zaczął Bill i urwał gwałtownie, gryząc się w język. Mike i Joe słyszeli już wielokrotnie to stwierdzenie, po cóż więc miałby się powtarzać? Zrobi to później, w czasie przekazywania swojej relacji do Stanów. Nic nie zdoła go od tego powstrzymać.

Po drugiej stronie placu zaczęły pojawiać się ambulanse, pancerne wozy transportowe z żołnierzami ONZ i samochody osobowe z funkcjonariuszami ONZ. Wywołało to dodatkowe zamieszanie, gdy kierowcy szukali miejsca, w którym mogliby zaparkować.

5

- Przybyli z odsieczą. Lepiej późno niż wcale - mruknął Joe zgryźliwie. - Na niewiele się tutaj zdadzą. Mogą co najwyżej wywieźć rannych i pogrzebać umarłych.

Bill nic nie powiedział. Zastanawiał się gorączkowo. Słowa i zdania przelatywały mu przez głowę, gdy układał w myślach swoją relację. Chciał, żeby była obrazowa, wierna, żywa i trafiająca do sumień.

- Domyślam się, że nici z naszej przepustki? - powiedział Mike, unosząc do góry brwi. - Nie wyjedziemy dzisiaj, prawda, Bill?

Korespondent ocknął się z zamyślenia.

- Na razie nie możemy się stąd ruszyć. Musimy opisać skutki ataku. To w pewnym sensie... nasz moralny obowiązek. Jeśli Clinton i przywódcy państw zachodnich nie zdecydują się na jakieś rozwiązanie, które by w sposób rozstrzygający wpłynęło na losy wojny, to podniesie się publiczna wrzawa.

- A więc zostajemy - zgodził się kamerzysta.

- Nie liczcie na to, że cokolwiek zrobią w tej sprawie - mruknął Joe z sarkazmem.

- Dotychczas ani razu nie zareagowali tak, jak powinni. Pozwalali Serbom na wszystko, i to od samego początku.

Bill skinął głową. Joe wyrażał opinię, którą dzielali wszyscy dziennikarze i komentatorzy telewizyjni przebywający w Bośni.

- Ile mamy nakręconego materiału? - Bill zwrócił się do Mike'a.

- Mnóstwo. Znaleźliśmy się pierwsi na placu targowym - w kilka sekund po wybuchu śmiertelniegroźnego pocisku. Byliśmy w dziuple tuż za rogiem, kiedy to się stało. Natychmiast zacząłem filmować. To wyjątkowo krwawe i drastyczne sceny.

- Wprost makabryczne - dodał z naciskiem Joe.

- Musimy je pokazać - zdecydował Bill. I dorzucił prędko, patrząc na Mike'a: - Znajdź jakieś miejsce, w którym moglibyśmy nakręcić mój komentarz. Chciałbym, aby oddawało dramatyzm wydarzeń.

- Nie ma sprawy, Bill. Kiedy chcesz zacząć nagrywanie?

12

- Za jakieś dziesięć minut. Najpierw się trochę porozglądam i porozmawiam z ludźmi z ONZ-tu kręcącymi się przy ambulansie. Może zdołam się czegoś więcej od nich dowiedzieć.
- Dobrze, a ja poszukam odpowiedniego tła dla twojej relacji - obiecał kamerzysty.

* * *

William Patrick Fitzgerald był znanym korespondentem i niewątpliwą znakomitością telewizyjnej stacji CNS. Zasłynął ze swoich wyważonych, dokładnych, ale i bardzo celnych doniesień z pól bitew oraz wstrząsających światem konfliktów.

Jasna karnacja i chłopięcy - mimo trzydziestu trzech lat - wygląd, a także zdecydowany sposób bycia sprawiały, że prezentował się wyjątkowo dobrze jprzed telewizyjną kamerą.

Poważne niebieskie oczy oraz ciepły i szczerzy uśmiech przekonywały, że prawość jest nieodłączną cechą jego natury. Przymioty te podkreślały jego wiarygodność i w dużej mierze przyczyniły się do olbrzymiego sukcesu, jaki odniósł w telewizji. Cieszył się zaufaniem wśród widzów. Ludzie mu wierzyli, czekali na jego relacje, uważnie słuchali wszystkiego, co miał im do powiedzenia, i liczyli się z jego opinią.

Nic dziwnego, że CNS bardzo wysoko go ceniła i że ubiegały się o niego inne stacje telewizyjne. Bill odrzucał jednak wszystkie oferty, jakie kierowano do jego agenta, gdyż był człowiekiem lojalnym. Nie miał zamiaru opuszczać CNS, gdzie pracował od ośmiu lat.

* * *

Jakiś czas później, gdy stał przed dopalającym się budynkiem na placu targowym, jego relacja była bardziej wiarygodna niż kiedykolwiek przedtem. Mówił ze smutkiem, odpowiednio modulując głos i przestrzegając reguł starej, praktycznej dziennikarskiej zasady: „Kto, kiedy, gdzie, co i jak”, którą wpoił mu jego zmarły przed pięcioma laty ojciec - powszechnie szanowany dziennikarz prasowy.

7

- Trzydziestu siedmiu cywilów straciło dzisiaj życie, a wielu innych odniosło rany na ruchliwym placu targowym w Sarajewie - zaczął Bill. - Pocisk artyleryjski został wystrzelony przez serbską armię rozlokowaną na wzgórzach otaczających rozdarte działaniami wojennymi miasto. To ohydny akt agresji wymierzony przeciwko niewinnym, bezbronnym ludziom, wśród których przeważały kobiety i dzieci. Siły ONZ, przybyłe natychmiast na miejsce eksplozji, uznały, że podobnego bestialstwa ani prezydent Clinton, ani przywódcy zachodnich państw sprzymierzonych nie mogą pominąć milczeniem. Zdaniem przedstawicieli ONZ za wszelką cenę należy uzmysłwić Serbom, że ich wyjątkowo brutalne działania są niczym nie usprawiedliwione, nieludzkie i niedopuszczalne. Jeden z wysokich funkcjonariuszy sił sprzymierzonych podkreślił, że akcje Serbów grożą zerwaniem rozmów pokojowych.

Po przedstawieniu dalszych szczegółów dotyczących bombardowania i opatrzeniu krótkim komentarzem migawek obrazujących tragedię, Bill zakończył swoją codzienną dziesięciminutową relację.

Opuścił stanowisko przed obiektywem kamery i zaczął na wyłączenie aparatury. A potem obrzucił wzrokiem swoich współpracowników i powiedział cicho:

-Niestety, nie mogłem zacytować wypowiedzi majora ONZ, z którym wcześniej przeprowadziłem rozmowę. Jego zdaniem Zachód musi interweniować i niezbędne jest zastosowanie środków odwetowych. To nieuniknione. Opinia światowa jest coraz bardziej wzburzona.

Joe i Mike z powątpiewaniem spojrzeli na Billa.

W końcu odezwał się Joe, a ton jego wypowiedzi świadczył o całkowitym braku przekonania.

- Niejednokrotnie to już słyszałem - oświadczył i potrząsnął ze smutkiem głową. - Przypuszczam, Billy, że ta odrażająca wojna uczyniła ze mnie cynika. Nic się nie wydarzy, zobaczysz... *status quo* zostanie zachowane...

* * *

Okazało się jednak, że Joe Alonzo nie miał racji. Przywódcy sił sprzymierzonych w Waszyngtonie, Londynie i Paryżu uznali, że muszą w sposób zdecydowany powstrzymać

Potajemny romans

Serbów przed systematyczną masakrą bośniackich cywilów. Nie mieli wyboru. W przeciwnym razie ściągnęliby na siebie oburzenie i gniew obywateli we własnych krajach.

W dwa dni po eksplozji śmiertelnie niebezpiecznego pocisku na placu targowym samoloty bojowe NATO zaatakowały armię serbską rozlokowaną na wzgórzach wokół Sarajewa.

30 sierpnia 1995 roku rozpoczęło się zmasowane bombardowanie. W krótkim dwutygodniowym okresie piloci odbyli ponad trzy tysiące pięćset lotów bojowych, a podczas akcji użyto nawet pocisków typu Tomahawk cruise.

Pod koniec trzeciego tygodnia Serbowie zaczęli wycofywać ciężką artylerię ze wzgórz na obrzeżach miasta i zaproponowali podjęcie pokojowych negocjacji.

Z powodu ataku NATO i jego bezpośrednich następstw Bill Fitzgerald wraz ze swoją ekipą pozostał w Bośni, a tygodniowy urlop we Włoszech przesunięto na inny, bliżej nie określony termin.

- Nie przejmujemy się tym zbyt, prawda? - zażartował Bill pewnego wieczoru, gdy siedzieli we trzech przy dużym stole w sali jadalnej hotelu Holiday Inn.

- Oczywiście, że nie - przytaknął Mike. - Kto by żałował tygodnia w Amalfi i odpoczynku w towarzystwie pięknych dziewcząt? Każdy może się bez tego obejść. A już z całą pewnością ja. A także Joe. - Wzruszył ramionami. - Kogo obchodzi morze, słońce i seks? A także cudowne makarony?

Bill zachichotał. Joe mu zawtórował.

- Na przykład mnie, i to bardzo. - Uśmiechnął się szeroko do kamerzysty, który był jego najlepszym kumplem, a potem powiedział cicho do Billa: - Nie mogłem się doczekać tej wycieczki. Zresztą ty też niecierpliwie wypatrywałeś wyjazdu do Wenecji. No, przyznaj się, Bill.

- Nie przeczę. I wcale z tego nie zrezygnowałem. Może wybiorę się tam za miesiąc lub dwa.

Był późny wrzesień i na ulicach Sarajewa panował względny spokój. Walki stały się mniej zacięte. Czasem tylko rozlegały się pojedyncze strzały snajperów, a żądni krwi

Serbowie z rzadka atakowali miasto. Zagraniczni korespondenci byli pewni, że energiczny odwet NATO o wiele skuteczniej pohamował agresorów niż wszystkie dotychczasowe metody perswazji stosowane przez Zachód.

- Myślę, że wkrótce sytuacja znacznie się poprawi - zawyrokował Bill.

Mike i Joe nie wyrazili swoich opinii, sądząc jednak po ich minach, dość sceptycznie odnieśli się do tej sugestii.

- Przy odrobinie szczęścia wojna niebawem się skończy - dodał korespondent, uważnie przyglądając się kolegom.

Joe, z natury pesymista, wypalił z typowym dla siebie cynizmem:

- Chcesz się założyć?

- Nie, nie chcę. Z Serbami nigdy niczego nie można być pewnym. Nie należy ufać ich słowom.

- I tacy zawsze prędcy do chwytania za broń, cholerni maniacy! - wykrzyknął Joe. - Oni rozpętali tę wojnę i zakończą ją na swoich warunkach. Gdy dostaną to, czego chcieli.

- To znaczy większą część Bośni, jeśli nie całą - dodał Bill. - U podłoża tej wojny leżą terytorialne zakusy. A także żądza władzy, fanatyzm rasowy i dążenie do przeprowadzenia czystek etnicznych.

- Zachłanność, polityka siły i nienawiść to bardzo groźna kombinacja - mruknął Mike. Z ponurą miną wbił wzrok w swój talerz. Skrzywił się, odłożył widelec i zmarszczył nos z obrzydzenia. - Zupa jest wodnista, mięso bez smaku, a na dodatek straszliwie tłuste. Ta cholerna godzina policyjna działa mi coraz bardziej na nerwy. Nie znoszę stolowania się tutaj co wieczór. Żałuję; że nie możemy wybrać się czasem w jakieś inne miejsce.

- W Sarajewie nie ma dokąd pójść. Zresztą nigdzie nie dostalibyśmy nic lepszego. I dobrze wiesz, że wieczorami nie możemy opuszczać hotelu - przypomniał Bill. - Ponadto trudno jest kierować pojazdem przy wygaszonych latarniach.

Umilkł i wyprostował się na krześle, ogarnął go nagły niepokój o Joego i Mike'a. Choć nie należeli do malkontentów, ostatnio wciąż na wszystko się uskarżali. Nie mógł mieć im tego za złe. Warunki życia w Bośni nie tylko się nie poprawiały, lecz stawały się coraz trudniejsze. Przypo-

wniał sobie stwierdzenie, jakie usłyszai, gdy po raz pierwszy przybył na Balkany, tuż po wybuchu konfliktu: „Jeden dzień w Bośni to tyle, co tydzień gdzie indziej, tydzień ciągnie się tu niczym miesiąc, a miesiąc jak rok”. Słowa te wypowiedział pewien reporter francuskiej gazety i Bill wiedział, że nigdy ich nie zapomni, gdyż w pełni odpowiadały prawdzie. Przebywanie w tym zniszczonym kraju było bardzo nużące, zabijało w człowieku duszę, pozbawiało go sił i niszczyło psychicznie. Bill, podobnie jak Joe i Mike, marzył o tym, by się stąd wyrwać.

- Przyznaję, że jadłospis jest nieszczególny. Co wieczór to samo fatalne żarcie - powiedział nagle Joe i zaśmiał się nieszczerze.

- Wielu ludzi głoduje w Bośni... - zaczął Bill, zaraz jednak zrezygnował z kontynuowania tej myśli.

Mike wyprostował się za stołem i oświadczył niespodziewanie:

- Bez względu na to, co się wydarzy, w listopadzie wracam na dobre do Stanów. Dzień Dzięczynienia spędzę na Long Island - za wszelką cenę. Zbyt długo się nie widziałem z rodzicami i młodszym rodzeństwem. Na pewno nie będę tkwił w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

- Doskonale cię rozumiem, stary - powiedział Joe. - Jeśli o mnie chodzi, mam ochotę na świątecznego indyka w New Jersey. Wraz z moimi bliskimi. Ja również nie zamierzam siedzieć wtedy w Bośni. Chrzanię to! - Rzucił Billowi wymowne spojrzenie, nim dokończył: - Powiedz Jackowi Clay-tonowi, że chcemy się wypisać z tego przedsięwzięcia.

- Oczywiście. Zrobię to jutro. Nie ma sprawy. Jestem przekonany, że zachwycony i uwielbiający nas naczelny redaktor odniesie się z pełnym zrozumieniem do twoich planów, a także Mike'a i moich. I zaproponuje, żebyśmy skorzystali z pierwszego lotu do Paryża, a stamtąd, nie zważając na koszty, przylecieli najbliższym concorde'em do Nowego Jorku. *Pronto, pronto*. Z pewnością to właśnie nam powie.

- Sarkazm nigdy nie był twoją mocną stroną, Bill - zauważył Mike z uśmiechem. - Ale poważnie, porozmawiaj jutro z Jackiem. Od dawna przysługuje nam urlop. Najpierw mowa była o lipcu, potem o sierpniu, aż w końcu zo-

stał definitywnie odwołany. Od trzech miesięcy siedzimy kamieniem w Bośni, nie licząc kilku dłuższych weekendów spędzonych na Węgrzech. Uważam, że wszyscy trzej osiągnęliśmy granice wytrzymałości psychicznej.

- Być może masz rację, Mike. A także ty, Joe. Należy się nam wypoczynek. Staliśmy się drażliwi. Ale rozmowy pokojowe w Dayton zaplanowano na początek października. A zatem już za kilka dni. Przypuszczam, że do tego czasu będzie panował tu jaki taki spokój. Jack będzie musiał przysłać inną ekipę, jeśli podczas naszej nieobecności wydarzy się coś poważnego.

- W Bośni nietrudno o kłopoty - zauważył Mike w zamyśleniu. - Fakt prowadzenia rozmów pokojowych nie oznacza jeszcze, że ucichną strzały. Tutaj wszystko może się zdarzyć.

- Niestety, to prawda - przytaknął Joe. - Nie róbmy sobie zbyt wielkich nadziei.

-Przyznaję, że Jack jest nieustępliwym szefem, ale zachowuje się jak należy. Przystanie na naszą propozycję. Nie zapominajcie, że sami postanowiliśmy zostać, gdy pod koniec sierpnia NATO rozpoczęło bombardowania. Jack był dla nas pełen uznania. - Bill umilkł, zastanowił się przez chwilę i podjął nagłą decyzję. - Spróbujemy wyjechać w przyszłym tygodniu, zgoda? Jak wam się podoba ten pomysł, chłopcy? Mike i Joe spojrzeli na niego w osłupieniu. A potem szeroko się uśmiechając, wykrzyknęli jednocześnie:
- Podoba się! I to bardzo!

Rozdział 2

WENECJA, listopad 1995

Pod ołowianym, mroźnym niebem plac Świętego Marka skąpany był w srebrzystym blasku. Tego chłodnego, zimowego popołudnia znad laguny i licznych kanałów podniosła się lekka mgła i spowila wszystko szarym welonem.

Bill Fitzgerald przemierzał wolnym krokiem plac i zupełnie nie przejmował się pogodą. Zbyt radował go przyjazd do Wenecji, o który od tak dawna zabiegał.

Znalezienie się tutaj po długim pobycie w rozdzieranej wojną Bośni było dla niego prawdziwym wytchnieniem. Stwierdził z ulgą, że dzięki sprzyjającym wiatrom i morskim prądom Wenecja nie została zalana, co często zdarzało się o tej porze roku. Ale nawet gdyby tak się stało, wcale by się tym nie przejął. W końcu weneccjanie jakoś radzili sobie w sytuacji, gdy miasto leżało pod wodą. Dlaczego on nie miałby temu podolać?

Od kilku lat przyjeżdżał tutaj przy każdej nadarzającej się okazji. Większość europejskich metropolii, w których pracował jako zagraniczny korespondent, miała dobre połączenia z Wenecją. Wystarczyło, by spędził tu kilka dni, a czuł się wypoczęty, pokrzepiony i podniesiony na duchu.

La Serenissima, jak weneccjanie nazywali swoje dryfujące na wodzie miasto kościołów i pałaców, pełne skarbów sztuki i architektury, jaskrawiło się różnorodnością barw i połyskujących w wodzie światel. Bill uważał, że to jedno z najbardziej intrygujących i inspirujących miejsc na świe-

cie, które musi zachwycić nawet najbardziej krytycznie nastawionego turystę.

Podczas swego pierwszego pobytu, przed dwunastoma laty, wiele czasu poświęcił na zwiedzanie kościołów i pałaców, podziwiając zapierające dech w piersi obrazy Tycjana, Tintoretta, Veronesa, Tiepola i Canaletta. Niezrównane piękno tych dzieł poruszyło jego duszę i stał się odtąd zagorzałym miłośnikiem weneckiej szkoły malarstwa.

Zawsze pragnął malować, niestety nie miał do tego talentu. Najlepiej potrafił posługiwać się słowem.

„Ten dzieciak musiał całować Kamień Blarney” - mawiała często jego babka ze strony matki, Bronagh Kelly, nawiązując do starej irlandzkiej legendy o kamiennym zamku w pobliżu Cork. Podanie głosiło, że ci, którzy pocałują mury twierdzy, stają się niezwykle wymowni. „To prawda -przyznawała matka Billa. - Chłopak posiada dar kraso-mówstwa. I potrafi pisać jak anioł. A pamiętajmy, że pióro jest orężem potężniejszym nawet od miecza”.

Bill był jedynakiem. W dzieciństwie spędzał dużo czasu z dorosłymi, a zwłaszcza ze swoją uroczą, irlandzką babką. To ją darzył największą sympatią i do niej był najbardziej przywiązany.

Jako mały chłopiec z zapartym tchem słuchał jej opowieści o dobrotliwych duchach, o przynoszącej szczęście koniczynie oraz o wypełnionych złotem dzbanach na przeciwległym krańcu tęczy. Bronagh opuściła Irlandię wraz ze swoimi rodzicami i młodszym bratem, gdy miała osiem lat. Potem wychowywała się w Bostonie. Tam poznała dziadka Billa - prawnika, Kevina Kelly'ego.

„Urodziłam się w 1905 roku, ale cóż za moment sobie wybrałam! - zwykła opowiadać. - Przyszłam na świat o północy dwunastego czerwca w samym środku gwałtownej nawałnicy. Moja droga mama uznała to za zły omen. - Babka za każdym razem poszerzała historię swoich narodzin o nowe szczegóły, a skupiona uwaga wnuka i jego szeroko otwarte oczy najwyraźniej sprawiały jej przyjemność. - I rzeczywiście moje życie miało bardzo burzliwy przebieg, Billy” -stwierdzała, wybuchając głośnym śmiechem, co skłaniało go do przypuszczeń, że była zachwycona kolejami swojego losu.

Zona Billa, Sylvie, pokochała babcię nie mniej niż on i z czasem obie kobiety stały się sobie bardzo bliskie. Bronagh Kelly odznaczała się typowo celtyckimi cechami: była lekko stukniętą, nawiedzoną mistyczką. A Sylvie pod wieloma względami ją przypominała.

Ilekcio Bill wracał do Wenecji, zawsze żałował, że nie zdążył się tutaj wybrać razem ze swoją żoną. Wciąż odkładali tę podróż, aż nagle okazało się, że jest na nią za późno. Sylvie odeszła. Któż mógł przewidzieć, że w dzisiejszych czasach umrze przy porodzie? Przyczyną była „rzucawka porodowa”, którą zapoczątkował atak padaczkowy zakończony śpiączką i zgonem.

Utrata żony była dla Billa wielką tragedią. Taka była młoda, miała zaledwie dwadzieścia sześć lat. Po śmierci Sylvie pograżył się w rozpacz i przez długi czas nie mógł znaleźć ukojenia. Wreszcie zmuszony stawić czoło losowi, rzucił się w wir pracy.

Gdy zmierzał teraz w stronę bazyliki, jego myśli wciąż krążyły wokół Sylvie. Zmarła w 1989 roku; dziecko, małe dziecko, przeżyło. Nadali jej imię wybrane przez matkę - Helena. Ta cudowna mała istotka miała już sześć lat, była podobna do Sylvie jak dwie krople wody i nikt nie potrafił się oprzeć jej urokowi. Stała się jego ogromną radością. Gdy zdemoralizowany i skorumpowany świat nazbyt go przygnębiał, samo wspomnienie buzi dziewczynki poprawiało mu nastrój. Dzięki niej życie Billa znowu odzyskało sens.

Uśmiechnął się na myśl o córce. Praca zagranicznego korespondenta wymagała częstej zmiany miejsca i dlatego dziewczynka mieszkała u swojej babci w Nowym Jorku. Na szczęście widywał się z nią często, a wspólnie spędzane chwile miały dla obojga ogromne znaczenie. Helena była dobrym dzieckiem - wrażliwym, inteligentnym i niezbyt zepsutym, choć matka Billa kochała swoją jedyną wnuczkę do szaleństwa.

Po powrocie z Dayton w Ohio, skąd komentował przebieg wstępnych rozmów dotyczących pokoju w Bośni, spędził z matką i córką dwa tygodnie w ich mieszkaniu na Manhattanie przy East Sixties. Zamierzał wrócić do kraju

w grudniu, na święta Bożego Narodzenia. Jeśli tylko nie musiał tkwić w centrum działań wojennych czy przygotowywać relacji z jakiegoś doniosłego wydarzenia w odległym zakątku globu, zawsze starał się przebywać ze swoimi „wspaniałymi dziewczynami”, jak je zwykł nazywać. One także wyczekiwały go niecierpliwie, zwłaszcza wtedy gdy zbliżały się święta lub jakaś inna ważna uroczystość.

Ale tydzień w Wenecji przeznaczył dla siebie. Musiał wziąć się w garść po trzech miesiącach przebywania w Bośni-Hercegowinie. Konflikt na Bałkanach, którego był świadkiem, wyprał go z energii. Bill czuł się skrajnie wyczerpany i znużony wojną - ogromem jej zniszczeń i gwałtów.

Chciał o wszystkim zapomnieć, choć dobrze wiedział, że to niemożliwe. Miał jednak nadzieję, że pobyt w Wenecji zatrze przynajmniej część zatrważających, tak wciąż żywych obrazów, które pozostawiły trwałe ślady w jego psychice.

Najlepszy przyjaciel Billa, Francis Peterson, wojenny korespondent „Time'a”, uważał, że żaden z dziennikarzy nie potrafi wymazać z pamięci straszliwych scen z Bośni. „Są uwięzione w naszych myślach, niczym zatopione w bursztynie owady” - zwykł mawiać i Bill podzielał jego opinię. Bestialstwo, które oglądali, wycisnęło na nich niezatarte piętno.

Francis i Bill poznali się na studiach dziennikarskich w Uniwersytecie Columbia w 1980 roku i odtąd stali się serdecznymi przyjaciółmi. Często komentowali wydarzenia z tych samych wojen, i nawet jeśli przebywali w różnych częściach globu, utrzymywali ze sobą stały kontakt.

Francis był obecnie korespondentem w Bejrucie. A za niespełna dwie godziny miał przybyć do Wenecji, by spędzić kilka dni z Billem. Potem wybierał się do Nowego Jorku na uroczystość siedemdziesiątych urodzin swojego ojca.

Bill cieszył się, że przyjaciel mógł do niego dołączyć. Byli sobie bardzo bliscy, mieli te same zainteresowania, świetnie się rozumieli i na ogół myśleli podobnie.

Nagle Bill uświadomił sobie, że na placu Świętego Marka nie ma nikogo - z wyjątkiem stad gołębi. Ptaki krążyły wokół niego i wzbijały się nad bazyliką. Zwykle panował tu ożywiony ruch i roilo się od turystów z całego świata. Dzi-

siaj Bill był jedynym spacerowiczem i fakt ten wydał mu się niesamowity i zarazem surrealistyczny. Po raz pierwszy spostrzegł też nawierzchnię placu. Zwykle bruk szlifowały setki stóp i pewnie dlatego wcześniej nie zwrócił uwagi na jej wyjątkowość. Prześledził wzrokiem wzór: płaskie, szare kamienie pokrywały znaczną część placu, a na jego krańcach widniał - kontrastujący z nimi - wąski marmurowy szlak ozdobiony klasycznymi ornamentami. Sposób, w jaki owe motywy kierowały oczy i kroki w stronę bazyliki, wydał się Billowi uderzający. To nie przypadek, pomyślał, zmierzając do świątyni. Nie wszedł jednak do środka. Skręcił w prawo, minął Piazzetta San Marco i znalazł się nad brzegiem wody. Przez długą chwilę stał zapatrzonego w lagunę. Niebo łączyło się z morzem, tworząc bezkresną przestrzeń stłumionej szarości, która w blasku zachodzącego słońca przybrała odcień matowego chromu. Panował tu niczym nie zmałowany spokój. Trudno było wprost uwierzyć, że po drugiej stronie Adriatyku szaleje krwawa wojna. Nic się naprawdę nie zmienia, pomyślał Bill, oddalając się wreszcie od brzegu. Świat jest wciąż taki sam - pełen okropieństw i zła. Niczego nie zdołaliśmy się nauczyć w ciągu wieków. Nie staliśmy się bardziej cywilizowani, niż byliśmy w średniowieczu. Natura ludzka jest szpetna. Owijając się mocniej płaszczem, Bill Fitzgerald ponownie przemierzył pusty plac. Zaczęło już zmierzchać. Przyspieszył kroku, kierując się w stronę Gritti Pałace. Lubił ten staromodny, urokliwy i elegancki hotel. Cenił sobie jego wygody i podczas pobytu w Wenecji zazwyczaj się w nim zatrzymywał. Drobną mżawka prędko zamieniła się w prawdziwą ulewę. Bill wydłużył krok i niemal biegiem pokonywał odległość dzielącą go od bocznej uliczki, przy której mieściło się główne wejście do hotelu. Gdy pospiesznie wziął zakręt, zderzył się z jakąś równie prędko idącą kobietą. Jej kremowy kapelusz z szerokim rondem i parasolka poszybowały wysoko w powietrze. Bill chwycił nieznajomą za ramiona i mocno przytrzymał, by nie upadła.

- Proszę mi wybaczyć! Bardzo przepraszam - wykrzyknął, gdy trochę ochłonął, wpatrując się w parę srebrzysto-szarych oczu, - *Scusa! Scusa!* - dorzucił po włosku.

- Nic się nie stało, wszystko w porządku - odpowiedziała po angielsku. I uwalniając się z jego mocnego uścisku, popędziła za kapeluszem, który wiatr poniosł w głąb ulicy.

Bill wyprzedził ją, chwycił kapelusz, podniósł parasolkę, która zaklinowała się w studziencie rynsztokowej, i wręczył je nieznajomej.

- Jeszcze raz proszę o wybaczenie.

Skinęła w podziękowaniu głową, odbierając od niego swoje rzeczy.

- Nic się nie stało. Kapelusz też nie doznał wielkiego uszczerbku - stwierdziła, przyglądając mu się z uwagą. A potem otrzepała go i nieznacznie się skrzywiła. - Jest tylko trochę zabłocony. Nic nie szkodzi. Nie ma się czym przejmować! Zresztą i tak nigdy nadmiernie go nie lubiłam.

- Cóż za niezdara ze mnie! Wypadłem zza rogu jak wariat! Nie świadczy to najlepiej o mojej roztropności.

Czy na pewno nic się pani nie stało? - spytał troskliwie, niespodziewanie pragnąc odwlec moment rozstania.

Posłała mu lekki uśmiech i wcisnęła kapelusz na ciemne loki. . .

-Bardzo panu dziękuję - powiedziała, wymijając go w wąskiej uliczce.

Stał jak sparaliżowany, niezdolny do zrobienia kroku. Rozpaczliwie pragnął ją zatrzymać, porozmawiać z nią, może zaprosić na drinka. Otworzył usta, nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk. Najwidoczniej stracił nie tylko głos, ale i rezon.

Nagle się ocknął. Pospiesznie ruszył za nią i zawołał:

- Czy wolno mi będzie kupić pani nowy kapelusz? Nie zatrzymując się, odkrzyknęła przez ramię:

- To zbyteczne. Ale dziękuję za dobre chęci.

- Proszę mi na to pozwolić - zawołał. - Zniszczyłem go. Przystanąła na moment i przecząco pokręciła głową.

- Naprawdę niepotrzebnie się pan tym przejął. Do widzenia.

18

- Niechże się pani tak nie spieszy. Czy możemy porozmawiać?

- Niestety, to niemożliwe. Jestem już spóźniona - odparła i po chwili zniknęła za rogiem.

Bill puścił się za nią biegiem.

Nagle za zakrętem spostrzegł mężczyznę, który szedł uśmiechnięty w jej stronę, machając z dala ręką na powitanie.

Przyspieszyła kroku, odpowiadając podobnym gestem.

- Giovanni, *come sta?* - zawołała.

Uniosła parasolkę wysoko ponad głowę, aby Włoch, którego nazwała Giovannim, mógł ją uścisnąć.

Bill doznał gorzkiego zawodu. Zawrócił, okrążył skrzyżowanie i skierował się ku uliczce prowadzącej do Gritti Palace. Zaprzątnięty był domysłami na temat nieznajomej. Od dawna nie spotkał kobiety o tak oszałamiającej urodzie. Przypominał sobie jej lśniące, srebrzyste oczy, powabną twarz o jasnej karnacji i figlarnym wyrazie, gęstwinę ciemnych loków i pełne wdzięku ruchy. Była prawdziwą pięknoscią. Najwyraźniej miał pecha, że była już z kimś umówiona. Tak chciałby ją bliżej poznać.

Rozdział 3

Spotkali się przy barze legendarnego hotelu Gritti Palace, którego okna wychodziły na Canale Grande.

- Francis Xavier! Tak się cieszę, że znowu cię widzę! Wspaniale, że mogłeś przyjechać - wykrzyknął Bill, mocno obejmując swojego najlepszego przyjaciela. Wymienili silny, męski uścisk.

- I ja się cieszę, Williamie Patricku - zawtórował mu Frank. - Ależ długo się nie widzieliśmy! Bardzo mi ciebie brakowało.

- Ja też zdążyłem się za tobą stęsknić.

Zamówili u kelnera whisky i uśmiechając się do siebie, usiedli przy małym stoliku pod oknem.

- Tyle wojen toczy się na świecie, a nas ostatnio wysyłają w różne strony - powiedział Frank.

- Żałuję, że nie możemy pracować razem.

Wymienili spojrzenia i zamilkli na dłuższą chwilę, przypominając sobie niebezpieczne sytuacje, w jakich obaj niejednokrotnie się znajdowali. Ci dwaj mężczyźni rozumieli się doskonale we wszystkich istotnych sprawach. Łączyła ich nie tylko pasja docierania do prawdy, ale też pracowitość, uczciwość i odwaga, znamionujące najlepszych dziennikarzy. Postępowali jednak roztropnie, świadomi zagrożeń związanych z wykonywaniem tego zawodu. Zawsze starali się minimalizować ryzyko niezbędne dla wiernego odtworzenia wydarzeń.

- Nie ma mowy, nie wrócę do Bośni, Bill - oświadczył Frank, kiedy przyniesiono im drinki i tręcili się szklankami.

Potajemny romans

- Wiem. I nie mam ci tego za zię. Ja sam też chyba mam już tego dosyć. Co słyhać w Bejrucie?
- Jest dość spokojnie. Przynajmniej w tej chwili. Oczywiście spokój to pojęcie względne. Nie przypuszczam, aby Bejrut kiedykolwiek stał się znowu Paryżem Środkowego Wschodu, ale miasto wyraźnie się ożywia. Pojawiły się już firmowe sklepy i nieźle funkcjonują duże hotele.
- Ale Hezbollah wciąż się czai.
- Żebyś wiedział! Żyjemy w ciągłym strachu przed terrorystami. Ale ten problem jest ci doskonale znany! - Frank lekko wzruszył ramionami, a jego ciemne oczy się zwęziły. - Terroryzm stał się zjawiskiem bardziej powszechnym niż kiedykolwiek przedtem. Dranie rozpanoszyli się po całym świecie.
- Bill skinął głową, upił łyk whisky i rozparł się wygodnie w krześle. Towarzystwo Francisa Petersona sprawiało mu prawdziwą radość.
- Ale zmieńmy temat i porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym - zaproponował Frank i uśmiechnął się szeroko. - Jak się miewa moja mała Helena?
- Nie jest już wcale taka mała. Trochę urosła. Byłbym zapomniał - Bill wyciągnął portfel, wyjął fotografię i podał ją przyjacielowi. - To od twojej córki chrzestnej. Przesyła swoją podobiznę wraz z uściskami i całusami. Frank uważnie obejrzał zdjęcie.
- Jest najbardziej zachwycającą małą osobką, jaką kiedykolwiek w życiu widziałem - powiedział z uśmiechem. - Prawdziwy szczęściarz z ciebie, Bill. Jak widzę, wciąż przypomina botticellowskiego cherubinka.
- Tylko z wyglądu. Moja matka twierdzi, że to galgan i psotnica - wyznał nie bez dumy ojciec i rozpromienił się cały. - Ale któż chciałby mieć idealne dziecko?
- Jeśli w ogóle zdarzają się takie, muszą być nie do zniesienia. A jak się czuje Dru? - spytał Frank, chowając fotografię do portfela.
- Całkiem nieźle, dziękuję. Znasz moją matkę, Frankie, kipi energią, tryska humorem, często lubi dociąć i jak zwykle jest wszystkim bardzo życzliwa. A skoro już o niej mowa, prosiła, żebym cię pozdrowił.

Potajemny romans

21

- Przekaż jej moje ukłony, gdy będziesz z nią rozmawiał. Zresztą lepiej będzie, jeśli sam zatelefonuję do niej po powrocie. Żałuję, że nie udało mi się przyjechać do Stanów wtedy, kiedy ty tam byłeś. Ale nie mogłem wziąć urlopu -musiałem oddać w terminie artykuł o sytuacji w Libanie.

- Rozumiem.

- Domyślam się, że rozmowy pokojowe w Dayton nie wywarły na tobie większego wrażenia... - zaczął Frank.

- Rzeczywiście - przytaknął Bill. - Serbowie to banda diabłów. I gangsterów. Sam się przekonasz, nigdy nie zaakceptują uczciwego traktatu pokojowego z Bośniakami. Co się zaś tyczy oświadczeń ONZ o postawieniu serbskich zbrodniarzy przed sądem wojennym, to cię zapewniam, że poprzestaną na groźbach. Nigdy nie wytoczą w Hadze procesów tym rzeźnikom, to pewne. Wszystko ujdzie im na sucho.

- Tragiczne jest to, co mówisz, Bill. Obawiam się jednak, że masz rację.

- Skończy się na pobożnych życzeniach przedstawicieli ONZ.

- Zgadzam się z tobą.

Na chwilę zaległa cisza. Dwaj mężczyźni w milczeniu sącyli swoje drinki, pogrążeni we własnych myślach. Obaj byli równie przystojni, a ich serdeczna zażyłość rzuciła się w oczy. Przypadkowy obserwator natychmiast by się też domyślił, że są Amerykanami.

Frank, w przeciwieństwie do jasnowłosego Billa, był brunetem; miał ciemną czuprynę, piwne oczy i świeżą cerę. Chlubił się swoim irlandzkim pochodzeniem, od tych Czarnych Irlandczyków, i tym, że jego rodzina od trzech pokoleń mieszkała w Ameryce. Podobnie jak Bill, miał trzydzieści trzy lata i prowadził kawalerskie życie. Jego małżeństwo z zagraniczną korespondentką, Pat Rackwell - wschodzącą gwiazdą telewizyjnych wiadomości - rozpadło się cztery lata temu, nie wytrzymując konkurencji z jej zawodową karierą.

Na szczęście nie mieli dzieci i rozstali się dość przyjaźnie. Ilekroć relacjonowali to samo wydarzenie, starali się pomagać sobie nawzajem, wymieniali się informacjami

i korzystali z tych samych źródeł. A gdy spotykali się w jakimś obcym mieście, często wybierali się razem na kolację.

- Dotarły do mnie złośliwe uwagi na nasz temat - odezwał się Bill, przerywając ciszę.

- W Nowym Jorku? -Tak.

- Co to za uwagi?

- Mówią, że obaj wojnę mamy we krwi, że kochamy ryzyko i ekscytuje nas przebywanie w samym środku zamieszek. Jesteśmy uważani za osobników wyjątkowo lekkomyślnych i dających zły przykład.

Frank odrzucił do tyłu głowę i ryknął śmiechem.

- A któż by się przejmował tym, co myślą ludzie! Założę się, że te podle komentarze rozpowszechnia jakiś twój konkurent z innej stacji telewizyjnej.

- Mylisz się. To opinia jednego z moich kolegów z CNS.

- Ach tak. Chciałby cię pewno wygryźć z roboty!

- Być może - Bill zawahał się na moment, a potem spojrział na Franka przenikliwie. - Czy sądzisz, że nasze szanse na przeżycie są nikłe? I zabiją nas któregoś dnia, zajętych bez reszty wojną, w jakimś zapomnianym przez Boga miejscu?

Frank się zamyślił.

-Wielu dziennikarzy straciło życie... - mruknął po chwili, a jego słowa długo jeszcze dźwięczały w ciszy. Na twarzy reportera malowała się zaduma.

- Ale my nie zginiemy. Czuję to w kościach! - oświadczył Bill z nagłym przekonaniem w głosie.

- Masz absolutną rację, to nie jest nam pisane. Poza tym ciebie nie imają się kule.

Bill zachichotał.

- A co więcej, i mnie przynosisz szczęście.

- Tyle tylko że ostatnio nie zawsze jestem przy tobie, Frankie - uciał Bill.

- Niestety, bardzo żałuję. Wiele razem przeżyliśmy, dzieląc różne wzloty i upadki. Pamiętasz najazd na Panamę?

- Jak mógłbym zapomnieć o grudniu 1989 roku? Od śmierci Sylvie upłynęło zaledwie kilka miesięcy i wciąż nie mogłem się otrząsnąć z przygnębienia. Było mi wszystko

jedno, co się ze mną stanie. Nie obchodziło mnie to, czy przeżyję.

- Ale mój los nie był ci obojętny - zauważył cicho Frank i utkwil w przyjacielu wnikliwe spojrzenie. - Nie byłoby mnie tutaj dzisiejszego wieczoru, gdyby nie ty, Bill. Ocaliłeś mi życie.

- Daj spokój, Frankie. Zrobiłbyś dla mnie to samo.

- Oczywiście! Wiedz jednak, że możesz liczyć na moją dozonną wdzięczność.

- Czy to samo powtarzasz kobietom... w każdym mieście, w jakim się pojawisz?

Frank uśmiechnął się szeroko.

- Nie zaczynaj się ze mną droczyć - powiedział żartobliwie. - Czy jestem jedynym korespondentem, który lubi od czasu do czasu damskie towarzystwo? Nie rób z siebie świętoszka! Ty też nie stronisz od dziewcząt.

- Niestety, tam gdzie się ostatnio obracam, nie widuję zbyt wielu kobiet.

Frank pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Rzeczywiście. W Sarajewie trudno o romantyczne przygody.

- Nie można tego powiedzieć o Nowym Jorku, prawda, Frankie?

- Sądząc po twoim tonie, domyślam się, że pijesz do mnie.

- A pewnie. Mówią, że przy tobie nawet Don Juan mógłby wpaść w kompleksy.

Frank zachichotał. Był szczerze ubawiony.

Bill się uśmiechnął. Od dawna nie czuł się tak odprężony i uspokojony. Wiedział, że dzięki obecności przyjaciela zdoła w ciągu kilku dni pozbyć się depresji, odsunie od siebie straszliwe obrazy wojny i odzyska dawną formę.

Skinął na kelnera i zamówił kolejne dwa drinki.

- Po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że to wcale nie najgorsza reputacja. W końcu mężczyzna nie mógłby uchodzić za Don Juana, gdyby nie interesowały się nim kobiety.

- Całkowicie się z tobą zgadzam. W końcu, jak mówią, do tanga trzeba dwojga. A skoro już o tym mowa: kilka tygodni temu natknąłem się w Bejrucie na Elbę.

- Na Elbę? - Bill zmarszczył brwi i sprawiał wrażenie zaintrygowanego.
- Nie powiesz mi, że nie pamiętasz Elsy Mastrelli, naszego anioła stróża z Bagdadu.
- Ach, o tę Elbę ci chodzi! Mój Boże, co u niej słyhać?
- Nic nowego. Nadal jest korespondentką wojenną włoskiej gazety i nadal odgrywa rolę Florence Nightingale, miłosiernej siostry i matki ziemi jednocześnie. W każdym razie tak mi mówiono.
- To naprawdę wspaniała dziewczyna. Czy wciąż jest tak atrakcyjna?
- Tak, ale trzeba powiedzieć, że Elsa wydorowała. Stała się bardziej interesująca i doświadczona, choć widać po niej znużenie i zmęczenie wojną. Ale ciągle jest świetna. Przystojna kobieta z wielką klasą. Wpadliśmy na szybkiego drinka do hotelu Commodore i wspominaliśmy Bagdad.
- To był potworny okres w naszym życiu, Frankie! - wykrzyknął Bill. - Mój Boże, nigdy tego nie zapomnę... Pamiętasz styczeń 1991 roku? Aż się wierzyć nie chce, że od tamtego czasu upłynęły dopiero cztery lata.
- Przyznaję. Straszliwie wtedy ryzykowaliśmy, Billy.
- Mieliśmy zaledwie po dwadzieścia dziewięć lat. I nie zbywało nam na odwadze.
- A także głupocie, jeśli chcesz znać moje zdanie - odparował Frank. - Żadna reporterska historia nie jest warta ludzkiego życia.
- To prawda, nie jest. Przyznaj jednak, że nie myśleliśmy wtedy o śmierci. A relacjom z Bagdadu obaj zawdzięczamy zawodowy sukces. Czy to nie szczęśliwy traf, że CNS jako jedyna stacja telewizyjna otrzymała zezwolenie na pozostanie w Bagdadzie? I że ty i Elsa mogliście zostać z nami jako jedyni dziennikarze informujący o wydarzeniach z wojny w Zatoce?
- A to wszystko dzięki tobie i temu producentowi z twojej firmy, Blainowi Lovettowi. Co się z nim dzieje? Czy nadal pracuje dla CNS?
- Nie, najpierw przeniósł się do NBC, a potem do CBS. Do dziś tam pracuje i bardzo dobrze mu się powodzi, ale

nie wyjeżdża już na zagraniczne kontrakty. Przypuszczam, że z własnego wyboru.

- Znakomity był w tym, co robił. Pamiętam, jak wspaniale potrafił negocjować i jakich miał się sposobów!

Bill uśmiechnął się szeroko na wspomnienie dawnego kierownika produkcji.

- Zawczasu przygotował sobie grunt i jeszcze przed wybuchem wojny nawiązał ważne kontakty. A właściwie na długo przedtem. Irakijczycy uwielbiali jego gadki o niczym. Wielu z nich zdołał oczarować, zanim się zaczął konflikt. Nic dziwnego, że go faworyzowali. No i wróciliśmy zdrowi i cali do domu, gdy tam rozpętało się piekło.

- Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy ci powiedział, że nasi irakijscy opiekunowie pozwolili nam przywieźć cały telewizyjny ekwipunek z Jordanu. A także telefon z łącznością satelitarną. Byłem tym oszołomiony.

- I ja w nie mniejszym stopniu, Frankie. Co byśmy bez tego wszystkiego zrobili? Telefon był naszą jedyną łącznością ze światem, a tylko dzięki CNS wszyscy mieszkańcy globu mogli śledzić wydarzenia w Iraku.

- To sprawiło, że CNS wybiła się ponad inne stacje telewizyjne, a szczególnie te transmitujące wiadomości na żywo. Szkoda gadać, szczęściarze z nas, Bill, że wyszliśmy cało z tej opresji, zważywszy wszystkie okoliczności. Kiedy pomyślę o frontalnym ataku na nasz hotel... I o Elsie... jaki z niej był dzielny żołnierz. Frank umilkł, uświadamiając sobie, że Bill przestał go słuchać.

- Co się stało? -Nic.

- A jednak coś jest nie w porządku. Zrobiłeś się roztargniony i masz dziwny wyraz twarzy.

- Nie oglądaj się teraz... po drugiej stronie baru siedzi kobieta. Czy widziałeś, kiedy tu weszła?

- Jak mógłbym jej nie zauważyć? Poza nią, no i nami, nie ma tutaj nikogo. Dlaczego pytasz?

- Niemal jej dzisiaj nie przewróciłem. Zderzyłem się z nią po południu, gdy biegnąc do hotelu, gwałtownie wypadłem z rąk. A potem ścigałem jej kapelusz.

Potajemny romans

- Ścigałeś jej kapelusz?
- Och, nie patrz tak na mnie.
- Jak mam nie patrzeć?
- Jakbym był pomyłony.
- No cóż, nie przeczę, że jesteś trochę zwariowany, Bill, i ja również, dzięki Bogu. Życie jest zbyt ciężkie, pozwólmy więc sobie na odrobinę szaleństwa. Inaczej nie zdołalibyśmy sprostać wszystkim stresom. O co chodzi z tą kobietą?
- Podoba mi się. Chciałbym ją lepiej poznać.
- Wcale ci się nie dziwię. Jest bardzo interesująca. Czy to Włoszka?
- Nie przypuszczam, choć sądząc po jej wyglądzie, mogłaby nią być. Podejrzewam, że to nasza rodaczka, w każdym razie mówi z wyraźnym amerykańskim akcentem. Gdy wpadliśmy dziś na siebie, wiatr zerwał jej z głowy kapelusz. Rzuciłem się za nim w pościg. Podziękowała mi i odeszła. Miałem ochotę zaprosić ją na drinka. To zabawne, Frankie, ale zależało mi na tym, żeby ją zatrzymać.
- Dlaczego tego nie zrobiłeś?
- Próbowałem, ale ona bardzo się spieszyła. Niemal biegła. Poszedłem za nią i zobaczyłem, że wita się z jakimś mężczyzną. Takie już moje szczęście - pewno jest z kimś związana. Może spotkała się z mężem. Widziałem, jak się obejmowali. Muszę przyznać, Frankie, że ta kobieta od kilku godzin nieprzerwanie zaprzęta moje myśli.
- W takim razie masz tylko jedno wyjście.
- Jakie?
- Podejdz do niej i zaproponuj, żeby wypila z nami drinka - powiedział Frank. - A potem prędko dokonasz podboju. - Chyba masz rację - przyznał Bill, wstając z miejsca i ruszając prosto do stolika młodej kobiety. Podniosła wzrok znad notesu, który trzymała w ręku, i uśmiechnęła się na jego widok.
- Dobry wieczór - powitała go przyjaźnie.
- Skoro nie zgodziła się pani, żebym odkupił kapelusz, czy pozwoli pani przynajmniej postawić sobie drinka?
- zaczął Bill. - Obaj z moim przyjacielem będziemy zaszczytzeni, jeśli zechce się pani do nas przyłączyć i zjeść z nami kolację.

-Panowie są bardzo uprzejmi, ale niestety nie mogę skorzystać z zaproszenia. Czekam na przyjaciela, z którym jestem umówiona - wyjaśniła.

Bill przygasał.

- No cóż, nie mam... nie mamy szczęścia... - urwał i już chciał odejść, lecz w ostatniej chwili zmienił zamiar i zwrócił się do niej ponownie. - Pani jest Amerykanką, prawda?

- Tak. Mieszkam w Nowym Jorku.

- Ja również.

- Wiem.

- Nazywam się Bill...

-Fitzgerald - dokończyła za niego, mierzając go wzrokiem. Wydawała się rozbawiona. - Wiem, kim pan jest. Zawsze oglądałam pana reportaże, panie Fitzgerald.

- Proszę mówić mi po imieniu.

- Zgoda.

- A jak pani się nazywa?

- Vanessa Stewart - przedstawiła się, wyciągając do niego rękę.

Pochylił się i ujął mocno jej dłoń. Odkrył, że pragnie jak najdłużej przeciągnąć tę chwilę.

- Mam wspaniały pomysł - oznajmił, rozluźniając w końcu uścisk.

-Naprawdę? - spytała, unosząc do góry ciemne brwi, a w jej srebrnoszarych, utkwionych w nim oczach pojawiło się zaniepokojenie.

Chwycił rękami oparcie krzesła i pochylił się, bliżej się do niej przysuwając.

- Jesteśmy chyba jedynymi Amerykanami przebywającymi obecnie w Wenecji, dlatego musimy jutrzejszy dzień spędzić razem.

- Jutrzejszy dzień? - Ściągnęła brwi, - Dlaczego?

- Ponieważ jutro wypada Święto Dziękczynienia.

- Och, mój Boże! Zupełnie o tym zapomniałam.

- A jednak. Jutro jest czwartek, dwudziestego trzeciego listopada. Byłoby zbrodnią, gdyby troje przebywających w Wenecji Jankesów nie obchodziło wspólnie tego najbardziej amerykańskiego ze wszystkich świąt. Proszę dotrzymać nam towarzystwa - mnie oraz mojemu przyjacielowi,

Francisowi Petersonowi, korespondentowi „Time'a". Co pani o tym sądzi?

- Chętnie się do was przyłączę, ale pod jednym warunkiem.

- Jakim? Niech pani strzela!

- Chcę, aby na kolację był świąteczny indyk wraz ze wszystkimi tradycyjnymi dodatkami.

Twarz Billa rozjaśniła się w chłopięcym uśmiechu.

- Umowa stoi! - oświadczył. Odwzajemniła uśmiech.

- W takim razie przyjdę. Z największą radością. Czy spotkamy się tutaj w barze?

- Świetnie! Najpierw szampan, a potem indyk z tradycyjnymi dodatkami. Proszę tylko podać godzinę.

- Spotkajmy się o siódmej, zgoda?

- Doskonale. - Kątem oka spostrzegł, że do baru wszedł Włoch, ów Giovanni. Uprzejmie skinął głową na pożegnanie i oddalił się do swojego stolika.

Frank bacznie obserwował przyjaciela.

- Jak sobie poradziłeś?

- Nie może nam dzisiaj dotrzymać towarzystwa. Z oczywistych powodów: na horyzoncie znowu pojawił się Włoch.

- Czy to ten sam facet, z którym spotkała się po południu?

- Tak. Niejaki Giovanni. Zgodziła się jednak pójść z nami jutro na kolację.

Sukces kolegi najwyraźniej wywarł na Franku duże wrażenie.

- Gratuluję, stary. Jak zdołałeś tego dokonać?

-Przypomniałem jej, że jutro mamy Święto Dziękczynienia. A ponieważ jesteśmy prawdopodobnie jedynymi Amerykanami w Wenecji, byłoby zbrodnią, gdybyśmy nie uczcili wspólnie tego dnia.

-I zgodziła się?

- Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Kolacja ma być z indykiem. Zażądała tradycyjnego posiłku, ze świątecznymi dodatkami.

- Chyba nie obiecałeś jej tego?

- Oczywiście, że obiecałem. Dlaczego masz taką dziwną minę, Francis?
 - Gdzie, u licha, zamierzasz znaleźć indyka, Billy? Przecież, na miłość boską, jesteśmy w Wenecji, w ojczyźnie makaronów!
 - Nie przejmuj się, Frankie. Dobrze o tym wiem. Zaufaj mi.
 - Ależ Billy, indyk...
 - Czy w Bagdadzie kiedykolwiek cię zawiodłem? Kto, jeśli nie ja, zdobywał zawsze najbardziej smakowite kąski w tym targanym wojną mieście... od whisky „Johnnie Walker” po puszki z peklowaną wołowiną?
 - Rzeczywiście byłeś w tym niezły - przyznał Frank, uśmiechając się od ucha do ucha.
 - Wiem, co zrobię - stwierdził Bill. - Na dzisiejszy wieczór zarezerwowałem dla nas stolik „U Harry'ego”. Znają mnie tam wszyscy, począwszy od Arrigo Ciprianiego, szefa lokalu, aż po najmłodszego kelnera. Jutro przygotują dla nas prawdziwą świąteczną ucztę, wierz mi. I zdobędą gdzieś indyka. W końcu stały ląd nie jest tak daleko.
 - Spieranie się z tobą byłoby głupotą, Billy. Jak nazywa się owa dama?
 - Vanessa Stewart. Pochodzi z Nowego Jorku. I wiedziała, kim jestem. Możesz to sobie wyobrazić?
- Frank spojrzał rozbawiony na przyjaciela.
- Dobry Boże, Billy! Dlaczego jesteś tym taki zdziwiony? Zna cię przecież cała Ameryka. Pojawiasz się na ekranach telewizorów przez wszystkie dni tygodnia.

Rozdział 4

Sądysz, że wystawiła nas do wiatru? - spytał Frank następnego wieczoru. Obaj z Billem siedzieli w barze hotelu Gritti Palace i czekali na Vanesę. Spojrzał na zegarek. -Już dwadzieścia po siódmej.

- Nas miałyby wystawić? To nie wchodzi w rachubę - powiedział Bill żartobliwie i się roześmiał. - Któż ośmieliłby się zadzwonić z dwóch zuchwałych korespondentów wojennych? Powinieneś już wiedzieć, Frankie, że nikt nie może nam się oprzeć.

A kiedy przyjaciel przeszył go świdrującym spojrzeniem i prychnął z rozdrażnieniem, Bill dodał już mniej rozbawionym tonem:

- Nie sądzę, aby zrobiła coś takiego. To do niej niepodobne.

- Skąd ta pewność?

- Zdaj się na moją intuicję - odparł Bill stanowczo. -Zrobiła na mnie wczoraj wrażenie osoby poważnej i choć rozmawialiśmy krótko, uderzyły mnie jej dobre maniery. Gdyby nie chciała przyjść, zatelefonowałyby i pewnie użyłyby jakiejś grzecznej wymówki. Wyczułem, że nie należy do istot niestałych i kapryśnych.

- Skoro tak uważasz. No cóż, niepunktualność jest przywilejem kobiet - zauważył Frank.

Wymienili prędkie spojrzenia i zerwali się na równe nogi, gdyż w tym momencie w wejściu do baru pojawiła się Vanessa Stewart. Szybkim krokiem ruszyła ku nim.

Była szczupłą kobietą średniego wzrostu. Miała na sobie kostium z wytłaczanego aksamitu o odcieniu czerwo-

nego wina i dobrany kolorem do stroju wełniany płaszcz. Wąskie aksamitne spodnie i luźna tunika wycięta z przodu w karo, z długimi, rozszerzonymi rękawami, nadawały jej wygląd średniowiecznej postaci. Sznury szklanych paciorków o barwie ametystów i rubinów owinięte wokół jej szyi tworzyły kołnierz, a w jej uszach połyskiwały małe, złote

klipsy. . Na twarzach obu mężczyzn malował się wyraz podziwu, gdy zakłopotana zatrzymała się przed nimi.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała niepewnym tonem. - Naprawdę bardzo mi przykro, ale stało się to me z mojej winy. Niespodziewanie przeciągnęło się spotkanie, na które byłam umówiona po południu. Późno wróciłam do hotelu, a musiałam się jeszcze przebrać. Nie chciałam tracić czasu na telefonowanie do baru.

Pomyślałam, że lepiej zrobię, jeśli szybko coś na siebie założę i zejść na dół.

-To pani też jest gościem tego hotelu? - zdziwił się Frank.

- Tak, mieszkam tutaj.

- Ależ nic się nie stało - zapewnił Bill, starając się rozładować atmosferę. I uśmiechając się do niej ciepło, dodał: -Pozwól, Vanesso, że przedstawię ci mojego przyjaciela. Francis Peterson, reporter „Time'a". Frankie, poznaj Vanessę Stewart.

-Milo mi - powiedziała kobieta, potrząsając dłonią Franka.

- Mnie również - odpowiedział dziennikarz i uśmiechnął się do niej serdecznie. Uznał, że jest bardzo pociągającą osobą o niezwyklej urodzie. Bill trafnie określił jej uśmiech jako figlarny. Rzeczywiście miała w sobie wiele szelmowskiego uroku. Ogromne szare oczy w drobnej twarzy i krótkie, ciemne kręcone włosy nadawały jej bardzo młody, niemal dziecinny wygląd. Bardzo mu kogoś przypominała, ale nie potrafił uzmysłwić sobie kogo.

Przerzuciła płaszcz przez oparcie krzesła i usiadła.

- Masz ochotę na szampana czy wolisz inny trunek? -spytał Bill.

- Z przyjemnością napiję się szampana, bardzo dziękuję. - Rozsiadła się wygodnie i skrzyżowała długie nogi.

Gdy szampan został już rozlany i trącili się kieliszkami, Bill nie mógł powstrzymać ciekawości.

- Wspomniałaś że przedłużyło się jakieś spotkanie. Czyżbyś była tutaj w interesach?

-Tak - odparła i odchrząknęła - jestem projektantką szkła artystycznego. - Większość wymyślonych przeze mnie przedmiotów wykonywana jest w tutejszych hutach. W Murano, dokładnie mówiąc. Nic dziwnego, że często tutaj bywam. ^r

- Pochodzisz z Nowego Jorku? - spytał Frank.

- Tam się urodziłam.

- Mieszkasz na Manhattanie? Skinęła głową:

- Na East Fifties.

- Pocziwy, stary Nowy Jork - mruknął Frank. - Nie może się z nim równać żadne inne miejsce na świecie.

- Co dokładnie projektujesz? - chciał wiedzieć Bill

- Wazy, zabawne butle, duże patery i talerze - artykuły dekoracyjne, które można wyeksponować. Zajmuję się również biżuterią, różnymi paciorkami tego typu - wyjaśniła, dotykając szyi. - Najbardziej interesują mnie jednak przedmioty domowego użytku. W ubiegłym roku firma Neiman Marcus uruchomiła produkcję wielu artykułów, które specjalnie dla mej zaprojektowałam - odniosły duży handlowy sukces. Przyjechałam tu teraz, by nadzorować wykonanie nowej kolekcji

- Och, naprawdę? - wtrącił Bill.

- Tak, i to w jednej z najstarszych hut w Murano. Moim zdaniem weneckie szkło nie ma równego sobie. Jest najlepsze na świecie.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - dociekał Frank. - W szkole Sztuki Użytkowej na Rhode Island. Ale także w Wenecji. Ukończyłam tu roczny kurs podyplomowy.

- A więc mieszkałaś w Wenecji! - wykrzyknął Bill - Nawet me wiesz, jak ci zazdroszczę. Kocham to miasto!

- Ja też - Vanessa się rozpromieniła. - La Serenissima... Najjaśniejsza Republika - to bardzo trafna nazwa, nie sądzisz? Zawsze odczuwam tutaj zadowolenie, spokój, a także ekscytację. Uważam, że w Wenecji można pojąć, czym jest pełnia życia.

Bill dobrze wiedział, co miała na myśli. Uderzyła go jej otwartość. Skinął głową i odwzajemnił jej uśmiech. Przylapał się na tym, że wpatruje się w błyszczące oczy Vanessy. Odwrócił wzrok, sięgnął po kieliszek i prędko pociągnął łyk szampana. Nagle poczuł się skrępowany jej obecnością i pragnieniem, jakie w nim budziła.

Frank dostrzegł dziwne zmieszanie przyjaciela.

- Powiedz mi, Vanesso, gdzie zwykle spędzasz Święto Dziękczynienia? - spytał.

- Razem z moją mamą, jeśli przebywamy akurat w tym samym mieście. A czasami z ojcem, jeśli matka dokądś wyjedzie. To zależy od okoliczności.

- Z tego, co mówisz, wynika, że twoja mama dużo podróżuje - zauważył Frank i pytająco uniósł do góry brwi.

- To prawda. .

- Dla przyjemności czy w interesach? - pytał dalej.

- W związku ze swoją pracą.

- Czym się zajmuje?

- Jest aktorką.

- Teatralną? .

Bill sączył szampana, siedząc wygodnie w krześle i przysłuchiwał się rozmowie. Uważał, że Frank zadaje zbyt wiele pytań, a jednocześnie był ciekaw odpowiedzi Vanessy. Od dawna żadna kobieta tak go nie zaintrygowała.

- Teatralną i filmową. ,

- Znamy ją? - zapytał Bill, pochylając się do przodu i skupiając na niej całą swoją uwagę.

Roześmiała się.

- Przypuszczam, że tak. Moją matką jest Valentina Mad-

^{do} - Naprawdę?! - wykrzyknął Bill. - Tak, teraz kiedy to wiem, muszę przyznać, że jesteś do niej podobna I to bardzo.

- A także do Audrey Hepburn sprzed wielu laty, gdy grała rolę Sabriny - dorzucił Frank. - To ją mi przypominałaś, gdy weszłaś do baru. Czy nikt ci dotychczas me mówił, że jesteś do niej podobna? Vanessa wciąż się śmiała. Skinęła głową.

- Twoi rodzice są rozwiedzeni? - dopytywał się dalej Frank.

- Tak, ale pozostali przyjaciółmi i widują się czasami. Oboje mieszkają w Nowym Jorku. A właściwie ojciec. Mama fruwa po całym świecie, w zależności od kontraktu.
- Masz brata albo siostrę? - zwrócił się do niej Bill.
- Nie. - Vanessa wyprostowała się, przeniosła spojrzenie z Billa na Franka i wybuchnęła śmiechem. -
Zadajecie mi mnóstwo pytań!
- Jesteśmy dziennikarzami. A dociekliwość związana jest z naszym zawodem - odciął się Frank.

* * *

Przemierzali Calle Vallaressa, uliczkę odchodzącą od placu Świętego Marka, przy której mieścił się bar „U Harry'ego”.

Noc była mroźna. Księżyc na bezchmurnym, atramentowym niebie, upstrzonym tysiącem maleńkich punktów migotliwego światła, miał dzisiaj lisią czapę - otok okalający srebrną półkulę. Ulice były niemal całkiem opustoszałe. Z rzadka spieszenie podążał dokądś jakiś spóźniony przechodzień. Kroki głucho dudniły na bruku w nocnej ciszy.

- Nawet w Hollywood lepiej by tego nie zrobili - zauważył Bill, spoglądając w górę. - Nie potrafiliby tak zawiesić księżyca. Wenecja to wprost wymarzona sceneria do kręcenia filmów.
- Moja matka też tak uważa! - powiedziała Vanessa. - Według niej Wenecja to najbardziej sceniczne ze wszystkich miejsc na świecie.
- Ma rację - przyznał Bill, biorąc Vanessę pod rękę, gdy zmierzała wąskimi uliczkami w stronę słynnej restauracji. Zachwycała go bliskość tej kobiety i zapach jej perfum. Były lekkie. I kuszące. Podobnie jak ona. Pociągała go równie mocno jak wczoraj. Choć teraz to uczucie przybrało nawet na sile. Przez jakiś czas szli w milczeniu.
- Przypuszczam, że wiesz wszystko o barze „U Harry'ego” - odezwał się Bill.
- Nie sądzę. Byłam tam kiedyś z rodzicami. Ale tylko jeden raz. Czy to nie w tym lokalu zwykł przesiadywać Ernest Hemingway?

- Tak, a także inni pisarze, dziennikarze i wiele znakomitości. Powstał w latach trzydziestych, kiedy to pewien Amerykanin, Harry Pickering, pożyczył pieniądze od barmana, niejakiego Giuseppe'a Cipriani. Splacając dług, Harry wręczył mu dodatkową kwotę na otwarcie własnego baru. I *voilà!* Tak oto powstała restauracja.

- Zabawna historia - powiedziała Vanessa. Lekko zadrżała i mocniej owinęła się płaszczem.

- Nie jest ci zimno? - zapytał troskliwie Bill.

- Nie, wszystko w porządku.

Frank, który milczał przez całą drogę do restauracji, zaanonsował:

- A oto i nasz lokal. _ Obsługa przyjęła ich z królewskimi honorami. Gdy zdjęli płaszcze, zostali odprowadzeni do najlepszego stolika w głębi sali.

- Witamy, signore Fitzgerald - powitał Billa Arrigo Cipriani. - Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia. .

- Dziękuję, Arrigo. Chyba zaczniemy od drinka. Może „Bellini”? Trzeba jakoś to uczcić.

- Świetny pomysł - stwierdził Frank.

- Znakomity - przyznała Vanessa, a gdy tylko zostali sami, zwróciła się do Billa - Zapomniałam, jaki jest skład tego drinka. Co dodaje się do szampana?

- Sok ze świeżych brzoskwiń.

- Ach tak, racja. To cudowny napój.

Teraz, kiedy trochę lepiej się poznali, zadzierzgnęła się między nimi koleżeńska zażyłość. Vanessa nie wzbierała się odpowiadać na liczne pytania, czym bardzo ich sobie ujęła. Doszli do wniosku, że jest świetnym kompanem. Przekomarzali się żartobliwie i nie opuśczał ich wesoły nastrój. Rozmowę zakłóciło dopiero pojawienie się kelnera, który zamaszyście wręczył im karty.

- Wczoraj wieczorem zamówiłem specjalne danie - przypomniał Bill.

- Si, signore Fitzgerald, wiem o tym. Ale nie wspominał pan o przystawce.

- To prawda. Co pan może polecić?

- Proponuję *risi e bisi*. Wiem, że pan je lubi. - Kelner spojrział na Vanesę oraz na Franka i dodał: - To wyśmienite risotto. Palce lizać - cmoknął, dotykając dłońmi ust. - Ryż z zielonym groszkiem, szynką i parmezanem.

-Rzeczywiście, brzmi dość smakowicie - zażartował Frank.

Bill uśmiechnął się szeroko do Vanessy.

- To bardzo dobre danie. Chyba je zamówię. A ty?

- Ja też. Bardzo proszę.

- W takim razie wszyscy się na nie decydujemy - podsumował Frank i dodał: - Poproszę o listę win, Antonio.

- *Si, signore* Peterson - kelner skinął głową i się oddalił. Vanessa odsunęła krzesło.

- Przepraszam na moment. - Odeszła od stolika, zmiierzając w kierunku toalety.

Bill pochylił się w stronę przyjaciela.

- Co o niej myślisz?

- Jest urocza. I rzeczywiście nie ma w sobie nic z rozka-pryszzonej damy. To bardzo miła i moim zdaniem poważna młoda osoba.

- Podoba mi się - stwierdził Bill.

- Chyba zbyt łagodnie to określiłeś.

- Co masz na myśli?

- Zupełnie straciłeś dla niej głowę. Masz na nią ochotę, a ona na ciebie.

- Nie jestem pewien.

- Czego? Swoich czy jej uczuć?

- Zarówno jej, jak i moich.

Frank uśmiechnął się szeroko, a w jego ciemnych oczach pojawił się wyraz niezachwianej pewności.

- Billy, mój chłopcze, uwierz mi. Wdepnąłeś w to po same uszy. Nie jesteś w stanie się jej oprzeć, ona ma w sobie wszystko to, co cenisz u kobiet. Jeśli zaś o nią chodzi, to nie może oderwać od ciebie oczu. Jest tobą zafascynowana. Chłonie każde twoje słowo i pochlebia jej twoje zainteresowanie.

- Chyba przesadzasz.

- Nie myślę się, możesz mi wierzyć. Obserwuję was uważnie od dwóch godzin. Staracie się to ukryć, ale jesteście sobą nawzajem zauroczeni.

-Zastanawiam się, kim jest ten Włoch, Giovanni? -mruknął Bill.

- Nie wypada jej o to pytać. W każdym razie nie nosi ślubnej obrączki, tylko sygnet z herbem na małym palcu.

- W dzisiejszych czasach to jeszcze o niczym nie świadczy. A poza tym sama powiedziała, że często tu przyjeżdża.

- To też niczego nie oznacza, Billy. Zapewniam cię, że ta młoda dama... - Frank umilkł, gdyż właśnie w ich stronę zmierzała Vanessa.

Obaj poderwali się z miejsc, a Bill podsunął jej krzesło. Usiadła i uśmiechnęła się do niego ponad stołem.

- Powiedziałeś kelnerowi, że zamówiłeś wczoraj główne danie. Czyżbyś zapomniał o indyku?

- Jakżebym mógł? Zamówiłem tradycyjną okolicznościową kolację i na szczęście tutejsi kucharze mogli spełnić nasze życzenie. Taki przecież postawiłaś warunek, Vanesso.

Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, a potem niedowierzająco pokręciła głową: Jej oczy zaiskrzyły się figlarnie i w końcu wyznała:

- Ależ ja tylko żartowałam. Ani przez myśl mi nie przeszło, że zdołasz znaleźć w Wenecji indyka...

Bill spojrział na nią ze zdziwieniem. Położyła rękę na jego ramieniu, a jej dotyk był delikatny jak muśnięcie piórkiem.

- Widzicie, bardzo chciałam spędzić z wami to święto... indyk naprawdę nie miał znaczenia.

Rozdział 5

Przepowiednia Francisa Petersona się sprawdziła.

Bill i Vanessa zakochali się w sobie.

Stało się to prawdopodobnie w Święto Dziękczynienia, podczas wieczoru spędzonego „U Harry'ego”, jak stwierdził później Bill, choć upłynęło trochę czasu, zanim oboje zdali sobie z tego sprawę.

W ten świąteczny weekend mieli okazję się lepiej poznać. Piątek i sobotę spędzili we trójkę, razem z Frankiem.

Vanessa wzięła na siebie rolę przewodniczki i pokazała im miejsca, o których nawet Bill - wielki miłośnik miasta - nic nie wiedział. Były to małe i niezrównane galerie sztuki, muzea i kościoły, położone z dala od uczęszczanych szlaków, bary i kafejki znane tylko mieszkańcom Wenecji oraz sklepy, w których można było dokonać niezwykle korzystnych zakupów.

Na usilne prośby Billa zgodziła się zawieźć ich do Mura-no. Na wyspę popłynęli *vaporetto* - taksówką wodną - a podróż zajęła im zaledwie siedem minut. Obaj mężczyźni chcieli koniecznie zobaczyć starą hutę szkła, gdzie wyroby Vanessy były wydmuchiwane i ręcznie formowane. Fantastyczne projekty, świadczące o jej niebywałym talencie, wywarły na nich ogromne wrażenie. Dowodziły, że Vanessa jest prawdziwą artystką. Tego wieczoru, na jej życzenie, wybrali się razem na koktajl, wydawany przez przyjaciela Vanessy ze studenckich czasów, właściciela *palazzo* usytuowanego naprzeciwko hotelu Gritti Palace, po drugiej stronie Canale Grande. Aby się tam dostać, musieli wynająć gondolę.

Obaj dziennikarze uznali zgodnie ten nieco zdewastowany pałac za zdumiewające miejsce i byli zafascynowani jego licznymi skarbami. Carlo Metzanno, ich gospodarz, zajmował się projektowaniem wnętrza i nadał potężnej, wielowiekowej budowli elegancki i stylowy wygląd. Oprowadzając ich po domu, wyjaśniał pochodzenie licznych dzieł sztuki i zabytkowych przedmiotów. W widocznym miejscu umieszczone były nadzwyczajne szklane wyroby Vanessy. Miały faliste lub opływowe kształty i sprawiały zachwycające wrażenie.

Jakąś godzinę spędzili na przyjęciu, wmieszani w barwny tłum. Wśród gości byli miejscowi artyści, słynna francuska gwiazda filmowa, dramaturg z Londynu oraz amerykański architekt.

Gdy opuścili *palazzo*, wynajętą na cały wieczór gondolą popłynęli na Giudecca - wąską, srebrną wyspę po drugiej stronie Canale della Giudecca. Vanessa zaprosiła ich na kolację. Zarezerwowała stolik w czarującej i intymnej knajpce „Harry's Dolci”, wyglądającej jak młodsza siostra baru „U Harry'ego”. Po posiłku, przed powrotem do Wenecji, udali się pieszo do hotelu Cipriani na kawę.

- Staliśmy się niczym troje muszkietierów - zauważył Frank, gdy zajmowali miejsca, ciesząc się na myśl o powrotnej przejażdżce do Gritti Palace. - Mam poczucie, jakbyśmy byli starymi kumplami.

Bill i Vanessa skwitowali jego uwagę śmiechem.

- Myślę, że to fantastyczne! - stwierdził Bill.

Na sobotni wieczór Bill zaplanował „przygodę”, jak sam to określił. Wynajęta ponownie gondola zawiodła ich szlakiem krętych kanałów przecinających weneckie zaułki do starego, niewielkiego domu o dość zaniedbanym wyglądzie. Jak się okazało, mieściła się w nim dobrze znana Billowi restauracja o zdumiewająco rodzinnej atmosferze - ulubiony lokal mieszkańców Wenecji.

Czas upływał im wesoło. Dużo śmiali się tego wieczoru, wymieniając żartobliwe uwagi. A z każdą chwilą wzrastał ich wzajemny podziw. Coraz bardziej czuli się ze sobą zaprzyjaźnieni.

- Wznoszę toast – powiedział Frank, gdy kolacja miała się ku końcowi. - Za drogich przyjaciół, starych i nowych. -

Trącił się kieliszkiem czerwonego wina z Billem, a potem z Vanessą. Uśmiechnął się do niej jowialnie i dodał:
- Doskonale umiesz sobie z nami radzić, moja droga. A szczególnie ze mną i tymi wszystkimi pytaniami. Czas spędzony w twoim towarzystwie sprawił mi ogromną radość. Jesteś... niczym wiew świeżego powietrza. Vanessa splonila się lekko. Frank podczas wspólnego weekendu przekomarzał się z nią często, nic więc dziwnego, że jego niespodziewana kurtuazja i komplementy mocno ją zdziwiły.

- Miło mi to słyszeć, Frank. Ja też ci zawdzięczam wspaniałe chwile.

- Będzie mi was obojga bardzo brakowało - mówił dalej Anglik, przenosząc wzrok z Vanessy na Billa. - A szczególnie ciebie, Williamie Patricku. Bez ciebie pola walki nie mają już tego uroku.

- Domyślam się - zaśmiał się Bill. - Ja też będę za tobą tęsknił. Kto wie, może za jakiś czas znowu będziemy razem pracować?

- Być może. Bardzo bym był temu rad.

Gdy kilka minut później opuścili restaurację, Vanessa przytuliła się lekko do Billa, który opiekuńczo objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

Wenecja, zwłaszcza podczas zimowych wieczorów, miała w sobie coś tajemniczego, a nawet trochę zatrważającego. Gondola sunęła po ciemnej tafli krętego szlaku, zmierzając ku Gritti Palace. Znad mrocznych kanałów podniosła się mgła i tylko plusk uderzających o wodę wiosel zakłócał panującą wokół ciszę. W przyćmionym świetle wszystko wydawało się niesamowite i zagadkowe.

Po drugiej stronie wąskich kanałów majaczyły pod ponurym niebem budowle niczym budzące grozę, bezkształtne potwory. Chwilami mgła gęstniała i stawała się nieprzenikniona. Wilgoć przejmowała ich na wskroś.

Gdy gondola sunęła w stronę hotelu, troje przyjaciół prowadziło cichą rozmowę, kuląc się z zimna.

- Cieszę się, że wreszcie jesteśmy na miejscu - oświadczyła Vanessa, cała drżąc. Bill pomógł jej zejść na łód w malej przystani przed Gritti Palace. - Czasem Wenecja

nocą przeraża mnie i napawa złymi przeczuciami - wyznała i zaraz umilkła. Zrobiło się jej głupio. W końcu przebywała pod opieką dwóch mężczyzn, nie wspominając już o muskularnym gondolierze, który miał wygląd zawodowego boksera.

Zajmowali pokoje na różnych piętrach, pożegnali się więc na dole w holu.

Frank nazajutrz rano wyjeżdżał do Mediolanu, skąd miał bezpośredni samolot do Nowego Jorku. Pocałował Vanessę w oba policzki i jak zwykle serdecznie uściskał Billa.

- Do zobaczenia, Williamie - powiedział wesoło i ruszył ku windzie. Raptem przystanął, obrócił głowę i przez ułamek sekundy uważnie przyglądał się im obojgu. Niespodziewanie jego twarz nabrała powagi. - Dbajcie o siebie - dodał i zniknął za drzwiami windy.

* * *

Bill i Vanessa stali nieporuszeni w holu i spoglądali na siebie.

W jej oczach malowało się zdumienie.

- Cóż za dziwna uwaga. - Umilkła, wciąż nie odrywając wzroku od Billa.

- Nic w niej nadzwyczajnego - powiedział prędko. Nieznacznie się zawahał i dorzucił: - Zważywszy na to, że Frank wie, co do ciebie czuję.

- A co czujesz?

- Bardzo cię... lubię, Vanesso.

Nadal nie spuszczała z niego oczu, a potem skinęła głową.

- Pewnie się domyślił, że to odwzajemniona sympatia.

- Naprawdę?

- Oczywiście, Bill. Lekko pochylił głowę.

- A zatem Frank miał rację. Od samego początku trafnie odgadł nasze uczucia.

- Jest bardzo bystry - zauważyła cicho.

- To prawda. Masz ochotę się czegoś napić? Może coś gorącego? Cytrynową herbatę?

- Chętnie, ale nie tutaj.

- U mnie czy u ciebie?

- U ciebie. - Lekko się uśmiechnęła. - Zajmujesz apartament, mój pokój jest dość ciasny.

Objął ją ramieniem i poprowadził w kierunku windy na drugim końcu holu. Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, zrobił to, czego pragnął już od dawna. Wziął ją w ramiona i pocałował.

Odwzajemniła pocałunek, a żarliwość jej pieścioty oszołomiła go. Gdy winda się zatrzymała, prędko odskoczyli od siebie. Przy wysiadaniu spostrzegł jej zarumienioną twarz. Zwykle była bardzo blada.

Przesunął palcem po jej policzku, pochylił się nad nią i szepnął:

- Parzysz w dotyku. Jesteś taka rozpalona.

Nic nie odpowiedziała. Spleceni w uścisku ruszyli korytarzem w stronę jego apartamentu. Gdy weszli do środka, Bill zatrzaskał nogą drzwi, jedną ręką zaryglował zamek, a drugą przygarnął do siebie Vanessę.

Przywarli do siebie, całując się z narastającą gorączkowością.

Nagle Bill się odsunął.

- Może zdejmemy płaszcze - zaproponował, pomagając się jej rozebrać, a jednocześnie usiłując wyswobodzić się ze swojego prochowca. Rzucił oba wierzchnie okrycia na stojące nieopodal krzesło.

W milczeniu wziął ją za rękę i poprowadził do przyległej sypialni. Usiadła na krawędzi łóżka, ani na moment nie odrywając od niego oczu, gdy klęcząc przed nią, zdejmował jej buty.

Dotknął ustami obu stóp Vanessy, a potem wsunął rękę pod rozkloszowaną spódnicę. Gładził ją po nogach i posuwał się w pieściotach wyżej i wyżej.

- Bill?

- Słucham?

- Rozbierzmy się.

Przez usta przemknął mu uśmiech. W jednej chwili się wyprostował, chwycił ją za ręce i poderwał na nogi. Stali zwrócenii twarzami do siebie. Vanessa objęła go za szyję i namiętnie pocałowała. Odwzajemnił pocałunek. Sięgnął ręką do tyłu i rozpiął wełnianą spódnicę. Opadła na podłogę i zwinęła się wokół jej stóp. Vanessa wpatrywała się w niego w napięciu.

Billa zaskoczyło i ucieszyło to, co zobaczył. Na jej zarumienionej twarzy malowało się pożądanie, a srebrzyste oczy przepelniała tęsknota. Za nim.

Gwałtownie przyciągnął ją do siebie, pochylił się i zachłannie pocałował. Dotknął językiem wnętrza jej ust, a zapal Vanessy i nie ukrywane rozgorączkowanie, z jakim odwzajemniła pieszczotę, roznamiętniły go jeszcze bardziej. Twarz zalala mu fala gorąca. Od lat nie był równie podniecony. Ogromnie jej pragnął, i to od tylu dni, a teraz miał wrażenie, że za moment eksploduje. Mocniej ją przytulił, a ona poddała się jego woli, przywierając do niego całym ciałem.

Nieznacznie się odsunął, spojrzął na jej piersi pod cienką jedwabną bluzką i delikatnie ich dotknął. Były nabrzmiałe. Mocował się przez chwilę z górnymi guzikami, nim je rozpiął. Wsunął rękę pod bluzkę, a potem chwycił w usta twardniejącą brodawkę.

- Połóżmy się, Bill - wyszeptała.

Złączeni uściskiem z trudem dotarli do łóżka. Vanessa zaczęła ściągać z siebie resztę ubrania, ale ją powstrzymał.

- Pozwól, że ja to zrobię - poprosił cicho. - Chcę cię sam rozebrać, kochanie.

Przytaknęła. Ani na moment nie odrywała oczu od jego twarzy, gdy zsuwał jej bluzkę z ramion. Zaczął pieścić pocałunkami jej szyję i ręce, musnął ustami piersi. Rozpiął haftkę stanika i drażnił językiem jej sutki. W końcu, gdy drobne krągłe piersi Vanessy zostały całkowicie odkryte, zanurzył w nich twarz.

Poczuł, jak mocne ręce Vanessy błędzą po jego włosach, karku i plecach. Gładziły skórę, pieściły ją i ugniatały. Słyszał jej ciche jęki, gdy delikatnie dotykał i całował piersi, roznamiętniał siebie w równym stopniu jak ją.

Po chwili się wyprostował i objął spojrzeniem jej wyciągniętą na łóżku postać. Zachwyciła go delikatna uroda i bezbronność Vanessy. Wciąż miała na sobie koronkowy czarny pas i cienkie czarne nylony. Ostrożnie odpiął podwiązki, a potem zsunął w dół pończochy. Pożerał wzrokiem jej ciało - tak zadbane, kształtne i szczupłe.

Wreszcie rozpiął czarny pas i odrzucił go na bok.

- Tak cię pragnę - wyznała przytłumionym głosem.

Gorączkowo zrzucił z siebie ubranie i położył się obok niej. Wziął ją w ramiona i obsypał pocałunkami oczu, usta i koniuszki uszu.

- Chcę całować cię wszędzie - szepnął, z ustami w jej włosach.

- Ja też tego pragnę - wymruczała.

Zsunął się z łóżka i wtulił twarz w jej łono. Zareagowała gwałtownie, wykrzykując głośno jego imię. Ciało jej przeszył dreszcz i spazmatycznie chwytając powietrze, objęła go mocno ramionami.

Bill nie mógł już dłużej zapanować nad sobą. Przygniótł ją swoim ciężarem. Zanurzył ręce w ciemnych lokach, odnalazł wargami jej usta i miażdżąc je, ssal język. Musiał ją mieć. Natychmiast. Bez chwili zwłoki.

Podpierając się na łokciach, podniósł się nieco i spojrzał w jej oczy.

- Tak! - zawołała. - Och tak, Bill!

Wyplątał palce z jej włosów. Pieścił nabrzmiałe piersi i sztywne brodawki. Wsunął ręce pod jej plecy, a potem niżej pod pośladki i uniósł lekko jej biodra, przyciągając do siebie. Mocny i twardy jak nigdy, wtargnął w nią bez najmniejszego oporu.

Powitała go ciepłem i uległością, napierając na niego całym ciałem. Mocno splótła nogi na jego plecach, podciągając je wyżej, aby mógł się zagłębić w jej delikatnym i wilgotnym wnętrzu. Odnaleźli wspólny rytm, coraz to szybszy, aż ogarnęło ich szaleństwo. Bill miał wrażenie, że pęknie mu serce. Zanurzał się w nią coraz głębiej i głębiej, aż całkowicie się w niej zatopił.

- Vanesso - jęknął, z trudem łapiąc oddech. - Och, Vanesso.

- Bill! Nie kończ jeszcze! - krzyknęła.

Ponownie odnalazł jej usta i mocno tulił w ramionach, aż osiągnęli spełnienie, dzieląc moment ekstazy oraz bezmierną radość.

Rozdział 6

To odbyło się o wiele za prędko - stwierdził Bill, obejmując Vanessę i przyciągając do siebie. - Obawiam się, że byłem zbyt podniecony.

- Byłeś cudowny.

- Pragnąłem tego od chwili, gdy wpadłem na ciebie na ulicy, omal cię nie przewracając.

- To tak jak ja.

- Nie oszukujesz?

- Mówię najszczerzą prawdę.

Czuł, że przytulona do jego piersi Vanessa się uśmiecha.

- Kim jest Giovanni? - nie zdołał się powstrzymać. Podniosła na niego wzrok.

- Skąd znasz jego imię?

- Słyszałem, jak go witałaś, wkrótce potem, jak dogoniłem twój kapelusz.

- Teraz rozumiem. To mój stary przyjaciel... poznaliśmy się, gdy odbywałam tutaj kurs podyplomowy.

Bardzo mi wtedy pomógł i od tamtej pory łączą nas zażyłe stosunki.

- Jesteście kochankami?

- Nie. - Zawahała się, po czym dorzuciła: - Giovanni od kilku lat żyje... z innym mężczyzną.

- Ach, tak. - Bill odchrząknął. - Obaj z Frankiem zasypywaliśmy cię lawiną pytań, ale dżentelmeni nie pytają o wiek - powiedział po chwili. - Ile właściwie masz lat, Vanesso?

-Dwadzieścia siedem. Wkrótce skończę dwadzieścia osiem. A ty pewnie masz jakieś trzydzieści pięć, prawda?

Roześmiał się.

- Wielkie dzięki! Trochę się pomyliłaś. Dopiero trzydzieści trzy - oświadczył i pocałował ją w czubek głowy. - Powiedziałaś, że wyjeżdżasz stąd za cztery dni, czyli w środę, czyż nie tak?

- Tak, w poniedziałek i we wtorek muszę wykończyć swoje prace w hucie szkła.

- Czy będziemy mogli widywać się wieczorami?

- Ależ tak.

- Wiesz, w grudniu wybieram się do Nowego Jorku. Chciałbym spędzić w domu święta Bożego Narodzenia.

Czy będziesz wtedy w mieście?

Przytaknęła i po chwili milczenia odezwała się:

- Muszę ci o czymś powiedzieć, Bill.

Dosłyszał w jej głosie nagle zdenerwowanie. Zmarszczył brwi.

- Słucham, mów śmiało. Zrobiła głęboki wdech.

- Jestem mężatką - wyznała nieoczekiwanie. Początkowo nie zareagował, a potem dźwignął się na łokciach w górę. Vanessa obróciła się do niego. Wpatrywali się w siebie w napięciu. Dostrzegła na jego twarzy zdziwienie zmieszane z bólem.

- Przestań się na mnie złościć i nie patrz tak na mnie! -zawołała. \

- Czego się spodziewałaś, na miłość boską? Czuję się zawiedziony. Okłamałaś mnie, Vanesso.

- Nieprawda. Nie pytałeś nigdy o mój stan cywilny.

- Oszukałaś mnie, ukrywając przede mną ten fakt.

- A co powiesz o swoim życiu, Bill? Czy nie ma w nim żadnej kobiety? Żeby żyć z kimś, niepotrzebny jest świstek papieru. Zalegalizowanie związku dwojga ludzi niekoniecznie sprawia, że więzi stają się silniejsze, a przywiązanie wzrasta. Mieszkasz z jakąś kobietą?

-Nie.

Westchnęła.

- Żyjesz z nim? - spytał.

- W pewnym sensie tak...

- Co to znaczy?

- On często wyjeżdża. A ja wiele czasu spędzam w swojej podmiejskiej pracowni - mam niewielką posiadłość w Southampton. Rzadko jesteśmy razem.

- A kiedy się spotykacie? Czy stanowicie wtedy przykłądną parę?

Wzruszyła ramionami.

- Sypiasz z nim? - naciskał. Nie odpowiedziała.

- Twoje milczenie jest złotem... i oznacza, że jednak sypiasz.

- Nie jesteśmy dobrym małżeństwem. Skwitował to szyderczym śmiechem.

- Och, tak! Nie rozumiana przez męża kobieta! - wykrzyknął.

- Nie w tym rzecz! - Zerwała się z pościeli, pobiegła do łazienki i wróciła po chwili owinięta we frotowy szlafrok. Przycupnęła na krawędzi łóżka i ujęła dłoń Billa.

Zmierzył ją wzrokiem. Na jego twarzy malowało się napięcie. Usiłował zapanować nad swoimi emocjami.

Przed chwilą, kiedy namiętnie się kochali, ogarnęła go euforia, teraz już zapomniał, że taki stan w ogóle może istnieć. W towarzystwie tej młodej kobiety, która tak niespodziewanie pojawiła się w jego życiu, czuł się wspaniale. Pragnął lepiej ją poznać, spędzać z nią jak najwięcej czasu. Wyznanie, że nie jest wolna, spadło na niego jak grom z jasnego nieba.

- Nie gniewaj się na mnie, Bill. Pozwól, że ci wszystko wyjaśnię.

-Ależ ja wcale się nie gniewam. Chętnie cię wysłucham. W końcu jesteś moim gościem. Mów. - stwierdził z wyraźną nutą sarkazmu w głosie.

-Peter jest prawnikiem w świecie show-biznesu, i to bardzo wziętym - tłumaczyła nie zrażona jego ironicznym tonem. - Rzadko jest uchwytany w Nowym Jorku, gdyż głównie przebywa w Hollywood. Na początku naszego małżeństwa było inaczej, dopiero później zaczął prowadzić wiele spraw. Ja też sporo podróżuję. Oboje zdążyliśmy już przywyknąć do tego, że żyjemy oddzielnie. Ale mój mąż jest porządnym człowiekiem i zawsze mogłam liczyć na jego

Potajemny romans

wsparcie, podobnie jak i on na moje. Nasze życie trochę się pogmatwało. Nie jesteśmy najlepszym małżeństwem, ale i nie najgorszym.

- Nigdy nie myślałaś o porzuceniu go? Zaprzeczyła ruchem głowy.
 - Jak już powiedziałam, jest dobry. Nie chciałabym go zranić.
 - A co z tobą, Vanesso? Czy nie zasługujesz na szczęśliwy związek?
 - Myślę, że nie można budować szczęścia na czyjejs krzywdzie.
 - Rozumiem.
 - Peter by się załamał, gdybym go zostawiła. Nie potrafiłabym wziąć na swoje sumienie jego bólu.
 - Macie dzieci?
 - Niestety, nie.
 - Od jak dawna jesteście małżeństwem?
 - Od czterech lat.
 - Nadal go kochasz?
 - Jestem do niego przywiązana... - Umilkła na moment, zamyśliła się i w końcu wyznała: - Peter był obecny w moim życiu od bardzo dawna. Wciąż jesteśmy dobrymi przyjaciółmi i wiele nas łączy. Zawsze wspierał mnie w mojej pracy i w karierze. Jest miłym człowiekiem. Lubię go i darzę szacunkiem, ale... \
 - Ale nie jesteś w nim zakochana, czy to usiłujesz mi powiedzieć?
 - Tak. - Zagryzła wargę i pokręciła głową. - Czy mogłabym być teraz z tobą, gdyby było inaczej?
- Bill położył głowę na poduszce i zamknął oczy. Cicho westchnął.
- Wolalbym od samego początku wiedzieć, że jesteś zameżna, to wszystko - powiedział cicho.
 - Chciałam się do tego przyznać. Naprawdę miałam taki zamiar. Ale potem było nam tak dobrze razem i za bardzo cię pragnęłam. Pomyślałam, że przestaniesz się mną interesować, kiedy się dowiesz, że jestem mężatką.
 - Powinnaś być ze mną szczerą - wycedził powoli.
 - A ty byleś?

Gwałtownie wyprostował się na łóżku i wpatrywał się w nią uporczywie.

- Tak, ja byłem. Nie ma żadnej kobiety w moim życiu. Wiesz, że jestem wdowcem. Mój Boże, przecież cały świat obiegła wiadomość o tym, że owdowiałem. Och, oczywiście nie stroniłem od kobiet, ale ani razu nie byłem zakochany. A od sześciu lat, czyli od śmierci Sylvie, nie zaangażowałem się poważnie w żaden związek uczuciowy. Prawdę mówiąc, dopiero kiedy poznałem ciebie, pomyślałem, że być może mamy przed sobą wspólną przyszłość. Nie zamierzam wyrzekać się szczęścia, Vanesso. - Wzruszył ramionami. - Najwyraźniej myliłem się jednak, przypuszczając, że go zaznam z tobą.

Vanessa milczała. Spuściła oczy i nerwowo zaciskała spoczywające na kolanach dłonie.

Cisza stawała się z każdą chwilą coraz bardziej niezręczna.

- Co ty naprawdę do mnie czujesz, Bill? Postaraj się być absolutnie uczciwy.

Utkwił w niej twarde, przesywające spojrzenie.

-Pytasz o to, kiedy dopiero co zapomniałem o całym świecie w twoich ramionach? - Zaśmiał się krótko i zaciśnął usta. - Wywarłaś na mnie piorunujące wrażenie. Kochając się z tobą, doznałem dzikiej rozkoszy. Jest mi z tobą cudownie. Poza tym lubię twoje towarzystwo. I podziwiam twój talent. Całkowicie zawróciłaś mi w głowie, Vanesso.

- A ty mnie, Bill. Do tego stopnia, że przez ostatnie kilka dni w ogóle nie mogłam się skupić. Myślałam tylko o jednym - że pragnę być z tobą. Jesteś zagranicznym korespondentem i z pewnością wkrótce będziesz musiał wrócić do Bośni lub wysłać cię w jakieś inne miejsce. Ja zaś mam zobowiązania związane z moją pracą... - Potrząsnęła głową, a jej oczy napęłniły się łzami. - Sądziłam, że będziemy się widywać, gdy tylko to będzie możliwe... i zobaczymy co dalej.

- Krótko mówiąc, pozostawmy sprawy ich własnemu biegowi. Czy to masz na myśli?

- Tak. Ilekroć moja matka napotykała jakieś trudności, zwykła powtarzać: „Wszystko się samo w życiu ułoży, Vanny. I to najczęściej z korzyścią dla nas”. Przypuszczam, że nadal wyznaje tę filozofię.

Bill spojrział na nią z namysłem.

- Czyżbyś sugerowała, że chcesz mieć ze mną romans? I utrzymywać go w sekrecie, żeby nie zranić swojego męża? Nie mylę się, prawda?

- Zabrzmiało to okropnie.

-Ale przecież to prawda. Jako dziennikarz mam obowiązek rzetelnego przedstawiania faktów.

Vanessa pokręciła głową i zagryzła usta, a po jej policzkach zaczęły powoli spływać łzy.

- Och, na miłość boską, przestań płakać! - Palcami otarł słone krople, przygarnął ją i odwrócił do siebie. A potem delikatnie pocałował w usta.

- Powiedz, że nie jesteś na mnie zły, Bill - poprosiła.

-Nie jestem zły, tylko samolubny. Jak większość mężczyzn pragnę, aby wszystko układało się po mojej myśli. Nie popełniłaś żadnej zbrodni. I dlaczego miałabyś nadstawiać dla mnie karku? - Roześmiał się. - W końcu to ja jestem nieustannie narażony na ryzyko... i wciąż igrzm z ogniem.

- Nie mów tak! - zawołała z błyskiem w oczach. Mocniej ją przytulił i pochylił się nad nią.

- Chcę być twoim kochankiem - szepnął. - A więc zrzuć ten szlafrok, abym mógł się zacząć wprawiać w tej roli.

Rozdział 7

Dzień był niezwykle - jasny i przesycony migotliwym światłem. Z nieba bił oślepiający blask. Nieskazanego błękitu nie przesłaniały żadne chmury, a ponad pomarszczoną taflą laguny świeciło słońce. Powietrze było chłodne, choć nieco cieplejsze niż podczas ostatnich dni, i mgła całkowicie się rozproszyła.

Tego pogodnego niedzielnego popołudnia Bill i Vanessa spacerowali dobre kilka godzin po uliczkach i placach, trzymając się za ręce. Niewiele rozmawiali, lecz wzajemne milczenie im nie przeszkadzało. Oboje byli zauroczeni pięknem Wenecji. Minęli Akademię, przeszli Calle Gam-bra ku Calle Contarini Corfú i wreszcie dotarli do Fondamenta Priuli-Nani.

- Oczywiście. Teraz przypominam sobie ten rejon miasta - powiedziała Vanessa, uśmiechając się do Billa, gdy zapuścili się w głąb ulicy. - To stary zakład remontowy San Trovaso, gdzie naprawiane są gondole - wyjaśniła, wskazując na podniszczone budynki. - Byłam tutaj kiedyś z moim ojcem, który chciał zwiedzić kościół San Trovaso. O ile dobrze pamiętam, to bardzo stara świątynia.

- Masz rację - przyznał Bill. - Pochodzi z dziesiątego wieku. Właśnie tam cię prowadzę. Chcę ci pokazać jeden z moich ulubionych obrazów Tintoretta. A w San Trovaso, nawiasem mówiąc, wciąż są budowane gondole - to jeden z ostatnich w Wenecji zakładów przemysłu szutniczego.

-Niemal wszystkie zlikwidowano. Mnóstwo starych zakładów przestało istnieć i zanikło wiele rzemiosł - mruknęła

z żalem. - Dzięki Bogu, nie dotyczy to hut szkła! - dokończyła ze śmiechem i obróciła się rozpromieniona w stronę Billa.

Minęli warsztaty szkutnicze i pokonali Ponte delie Me-ravegie - Most Cudów. Po krótkiej chwili dotarli do kościoła San Trovaso, którego smukła dzwonnica i kamienne ściany w kremowym kolorze odcinały się wyraźnym konturem na tle błękitnego nieba.

Po wejściu do świątyni przystanęli w milczeniu, aby oswoić się z przytłaczającą ciszą i pozwolić oczom przywyknąć do mrocznego światła. Gdy oboje ukłękli, Bill spojrzał szybko na Vanessę, ale nie skomentował tego faktu. Domyślił się, że podobnie jak on jest katoliczką. Boczna nawą powoli zbliżali się do ołtarza.

Po drodze Bill zwrócił uwagę Vanessy na malowidła zawieszane po obu stronach chóru.

- To Tintoretto - wyjaśnił. - Jego ostatnie dwie prace. Powstały w 1594 roku. A teraz pozwól, że pokażę ci obraz, który najbardziej cenię. - Chwilę później stanęli przed „Adoracją Mędrców Wschodu”, arcydziełem Tintoretta.

- Ja też zawsze byłam zauroczona tym płótnem - oświadczyła Vanessa. - Jest doskonale, zarówno pod względem kolorystyki, jak i sposobu przedstawienia sceny. Świadczy o niebywalej umiejętności posługiwania się pędzlem.

- Czyż nie jest wspaniały? Dowodzi niebotycznego geniuszu - stwierdził Bill i umilkł, wpatrując się w obraz. Stał jak wrośnięty w ziemię, nie mogąc oderwać od niego oczu.

Vanessa dostrzegła, że Bill jest jakby zahipnotyzowany malowidłem. Kilkakrotnie rzuciła w jego stronę ukradkowe spojrzenie, ale nie odezwała się ani słowem. Nie chciała zakłócać mu kontemplacji. Rozumiała jego zafascynowanie.

W końcu Bill oderwał wzrok od obrazu i powiedział:

- Kiedy podziwiam to płótno Tintoretta i inne skarby Wenecji, a także kiedy myślę o niewiarygodnych ludzkich talentach i zdolności do tworzenia niezrównanego piękna, nie potrafię się oprzeć zdumieniu, że człowiek może być jednocześnie sprawcą tak potwornego i niepojętego zła. Trudno pogodzić ze sobą te dwie sfery jego działań.

- W naturze ludzkiej zawsze istniała sprzeczność - zauważyła Vanessa, kładąc rękę na ramieniu Billa. -
Wenecja

jest wzorcem doskonałości. Gdziekolwiek spojrzemy, widzimy piękno. Te wszystkie dzieła sztuki, architektura, nieprzebrane skarby zgromadzone w ciągu wieków. Nie mówiąc już o wspaniałym położeniu miasta. - Umilkła na ułamek sekundy, nim dodała: - Dopiero przyjechałeś z Bośni, gdzie byłeś świadkiem wielu okrucieństw i przekraczającego ludzkie wyobrażenie bestialstwa. Przypuszczam, że nie potrafisz wyrzucić tego z pamięci, Bill. Twoje refleksje i porównania są więc w pełni zrozumiałe.

- Masz rację - przyznał, odchodząc w końcu od obrazu. Objął Vanessę i poprowadził ją wzdłuż nawy do wyjścia ze starej świątyni. - Myślę, że dzięki malarstwu i muzyce bezlitosna rzeczywistość staje się możliwa do zniesienia.

- Ja też tak sędzę.

Gdy znaleźli się znowu w blasku słońca, Bill odsunął od siebie wizję wojny na Bałkanach, która na moment nim zawładnęła.

- Już od dawna nie płynąłem gondolą po Canale Grandę. Może wybierzemy się na przejażdżkę? Co ty na to, Vanesso? Nie ma nic bardziej malowniczego, nie sądzisz?

- Znakomity pomysł. Wieki minęły od czasu, kiedy byłem na Canale Grandę, a to przecież wizytówka Wenecji. Poza tym podróż gondolą jest bardzo relaksująca.

Billa ogarnęło niespodziewane uczucie szczęścia. Wiedział, że stało się to za sprawą Vanessy; jej obecności przy nim. Otoczył ją ramieniem i przytulił do siebie.

- Tak się cieszę, że los nas zetknął ze sobą i że jesteśmy tu dziś razem. Cudownie było, kiedy się kochaliśmy. A jeszcze te wszystkie dni, które mamy przed sobą. - Przystanął, uniósł w górę jej twarz i przez chwilę się jej przyglądał z lekkim uśmiechem na ustach. - Vanesso, od bardzo dawna opatrność nie zesłała mi tak wielkiego daru. Pragnę nadal się z tobą spotykać, pomimo konieczności utrzymywania naszej znajomości w tajemnicy. - Spojrzał na nią pytająco.

Skinęła głową.

-Ja również. Kiedykolwiek i gdziekolwiek to będzie możliwe. - Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go w usta. - Przypieczętujmy naszą umowę pocałunkiem.

Objęci i roześmiani ruszyli w drogę powrotną. Ponownie minęli stary zakład szkutniczy i skierowali się ku wąskiej uliczce, która doprowadziła ich do Campo dell'Accademia. Tam Bill wynajął gondolę, aby zawiozła ich do hotelu Gritti.

Gdy tylko usadowili się w łodzi, Bill otoczył Vanesę ramieniem i mocno przytulił. Poczul, jak wiele ta kobieta dla niego znaczy, mimo że zna ją zaledwie od kilku dni. Nie przypuszczał, że oprócz Heleny i matki będzie się jeszcze mógł o kogoś do tego stopnia troszczyć. I że w dodatku wszystko nastąpi tak nagle.

Vanessa snuła podobne rozważania. Zastanawiała się, czy mogłaby wrócić do poprzedniego życia. Była przekonana, że nie jest to już możliwe. Z powodu Billa.

Oboje siedzieli tyłem do gondoliera zajmującego miejsce na dziobie łodzi, a przed nimi rozciągał się Basen Świętego Marka - szerokie, sięgające mola rozlewisko wodne. Tuż przed sobą mieli wyspę San Giorgio, kościół Santa Maria della Salute i Dogana di Mare - dawną komorę celną zwieńczoną przepiękną kopułą. Budowle te, znane jako perły u wrót Wenecji, złociły się w promieniach zachodzącego słońca.

- Światło Turnera - zauważył Bill, z uwagą przyglądając się niebu. - Czy dostrzegasz, jak zmienia się oświetlenie, Vanesso? Ma ten szczególny żółty odcień, który Turner tak doskonale uchwycił na swoich płótnach. Zawsze podobały mi się obrazy namalowane przez niego w Wenecji.

- Mnie też. A najbardziej lubię ten widok - powiedziała. - Całe miasto unoszące się na wodnej tafli, która zmienia się wraz z zapadającym zmierzchem. Niby scena ze snu... -Umilkła, zauroczona krajobrazem oraz jego magiczną, niemal niezmierną nastrój owością. Piękno miasta dogłębnie ją poruszyło. Niespodziewanie poczuła ucisk w gardle.

Niebo zlało się z połyskującą wodą w jedną całość - najpierw złotą, a potem, w padających nisko świetlnych wiązkach późnego popołudnia, opalizującą. Gdy płynęli wzdłuż Canale Grande w stronę hotelu, w wodnej tafli odbijały się wszystkie kolory Wenecji.

Promienie zachodzącego słońca pokryły srebrnymi smugami kopuły bazyliki i rozjaśniły spłowiałe pałacowe mury, dodając różowościom, żółciom i brązom ciemnozłotego bla-

sku. Kolory łączyły się ze sobą, tworząc pastelową mozaikę z pojawiającymi się gdzieśdelikatnymi plamami zieleni. Nad wszystkimi barwami dominował jednak błękit... różne jego odcienie zlewające się w rozmytą szarość.

Gondola sunęła powoli wzdłuż kanału, przepływając obok ścieśnionych niemal bez żadnego porządku wysokich i wąskich starych *palazzo*. Domy, podobnie zresztą jak i cała Wenecja, stały na słupach i palach wbitych przed wieloma wiekami w piasek i w skały.

To miasto tonie, pomyślała Vanessa. Proces jest powolny, lecz nieodwracalny. Nic nie zdoła powstrzymać butwie-nia i erozji.

Przyjrzała się mijanym pałacom, w których zgromadzono bezcenne skarby - dzieła wielkich mistrzów: obrazy, rzeźby, przedmioty ze srebra i złota, dywany i meble. Czyżby to wszystko miało się znaleźć pod wodą? Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Byłaby to straszliwa tragedia.

Bill mocniej objął ją ramieniem. Przytulila się do niego. Zakochała się w nim, choć nie powinna. I teraz nie wiedziała, jak się przed tą miłością obronić.

Siedzieli w hotelowym barze Gritti Palace przy gorącej czekoladzie, zjadając kanapki oraz wyśmienite małe ciasteczka. Na zewnątrz się ściemniło, niedawną słoneczną jasność stłumiła ołowiana szarość i znacznie wzmógł się wiatr, lecz w pomieszczeniu było ciepło i przytulnie. Cieszyła ich wzajemna bliskość i możliwość bliższego poznania.

- Nie powiedziałeś mi jeszcze, dokąd się stąd wybierasz, Bill - odezwała się Vanessa. - Czy wracasz do Bośni? Milczał przez chwilę, a potem potaknął. Jego twarz nagle spochmurniała.

- Tak, ale tylko po to, żeby do końca zebrać materiał. Dzięki Bogu nie potrwa to dłużej niż trzy, cztery dni.

- Przypuszczam, że relacjonowanie wojny jest ogromnie trudnym zadaniem... Tyle zatrważających scen widziałam w telewizji. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak to jest, gdy przebywa się w samym środku wydarzeń.

- To prawdziwe piekło.

-Które wycisnęło na tobie swoje piętno... Wywnioskowałam to z waszej rozmowy z Frankiem.

- To prawda. Wojna mnie zmieniła. Byłem świadkiem ludobójstwa w Europie. To trwa od czasów pierwszej i drugiej wojny światowej. W latach trzydziestych naziści prześladowali i mordowali Żydów, Cyganów oraz wszystkie te narodowości, które ich zdaniem należało zetrzeć z powierzchni ziemi. Nie przypuszczałem, że to się jeszcze może kiedykolwiek powtórzyć ani że świat na to zezwoli. - Pokręcił głową i wzruszył ramionami. - A jednak świat do tego dopuścił, i to świat cywilizowany. Och, przepraszam, użyłem niewłaściwego określenia. O ile się orientuję, nie zasługuje na to miano. Każdy z nas ma tylko cienką warstwę oglady. Wystarczy poskrobać w odpowiednim miejscu, a ukaże się potwór. - Spojrzał na nią posępnym wzrokiem i podjął wywód: - Jako dziennikarz nie mam prawa ulegać emocjom. Muszę być beznamiętny, obiektywny, zrównoważony i obserwować wydarzenia oczami bezstronnego widza.

Vanessa skinęła głową.

- Rozumiem, ale to musi być bardzo trudne.

- Ostatnio rzeczywiście jest trudne. Dawniej jeździłem po całym świecie, z jednego miejsca zapalnego w inne i nie przeżywałem niepokojów ani wstrząsów. Bośnia jednak wszystko zmieniła - to nieustające barbarzyństwo i masakra niewinnej, bezbronnej ludności. Mój Boże, czasami wprost nie sposób opisać potworności, jakich jesteśmy świadkami. Brak na to dostatecznie mocnych i drastycznych określeń.

Vanessa milczała. Po chwili poszukała jego ręki i zamknęła ją w swoich dłoniach, uznając, że w ten sposób najlepiej wyrazi zrozumienie.

Bill nie odzywał się przez moment.

- Chcę przygotować reportaż na temat światowego terroryzmu - oświadczył w końcu. - Mam na to dwa miesiące. Zaczniemy filmować w styczniu, tak by już w marcu móc przesłać materiał.

- To dlatego nie zatrzymasz się na dłużej w Sarajewie?

- Właśnie. Będę podróżował po Bliskim Wschódzie.

- Czy... - Mocniej ścisnęła go za rękę i pochyliła się ku niemu. - Czy będziemy mieli okazję, żeby się spotkać?
- Mam nadzieję, kochanie. Bardzo na to liczę.
- Może na miejsce naszych randek wybierzemy Wenecję?
- Myślę, że to znakomity pomysł - powiedział, odwzajemniając uścisk.
- Kiedy przyjedziesz do Nowego Jorku?
- Około piętnastego grudnia. Należy mi się dwutygodniowy urlop. - Spojrzał na nią badawczo. - Chyba umówienie się ze mną w Nowym Jorku nie sprawi ci kłopotu?
- Oczywiście, że nie. Czy mogę mieć do ciebie prośbę? - spytała z uśmiechem.
- Jaka?
- Chciałabym poznać twoją córkę.
- Naprawdę ci na tym zależy?
- Tak, Bill.
- A zatem umowa stoi. Zaproszę was wszystkie na lunch: Helenę, moją matkę i ciebie. Będę dumny, mogąc się pokazać w mieście w towarzystwie moich trzech dziewczyn.

Rozdział 8

NOWY JORK, grudzień 1995

Vanessa Stewart zawsze starała się być uczciwa - nie tylko wobec ludzi, z którymi się stykała, ale także wobec siebie. Jak daleko sięgała pamięcią, gardziła krętaczami, a nawet tymi, którzy tylko lekko przeinaczali fakty. Dzisiaj jednak, podczas tego mroźnego grudniowego popołudnia, musiała przyznać się przed sobą, że dawno już zбочyła ze ścieżki prawdy. W każdym razie w sprawach dotyczących życia osobistego.

Nie miała cienia wątpliwości, że okłamuje się co do swego małżeństwa. Oszukiwała również Petera, ponieważ nie próbowała mu uzmysłwić, że ich związek zaczyna szwankować na wielu różnych płaszczyznach.

Kłamię, gdyż zatajam fakty, pomyślała, przypominając sobie sformułowanie, jakiego użył Bill przed dziesięcioma dniami w Wenecji. Oszukuję, gdyż nie potrafię się zdobyć na szczerłość wobec męża i przymykam oczy na zasadnicze trudności, z jakimi boryka się nasze małżeństwo. Jestem w tym samym stopniu winna co i on. W tym tkwi problem. Zresztą nie jedyny.

Zachowaj się jak osoba dorosła i spójrz prawdzie w oczy, upomniała się nagle. Nasze życie się zmieniło. I to nie od dzisiaj.

Zasepiona, analizowała swoje stosunki z mężem. W jej myślach przesuwały się zapomniane obrazy. Oboje z Peterem nie rozumieli się już tak jak dawniej. Prawdę mówiąc,

ostatnio w ogóle nie potrafili znaleźć wspólnego języka. Nie zwierali się sobie, jak zwykli to robić w okresie narzeczeństwa i we wczesnych latach trwania ich związku, a ich pożycie seksualne praktycznie przestało istnieć. I jeśli nawet dochodziło do zbliżeń, to tylko w następstwie kłótni. Peter zawsze uważał, że seks to najlepsza metoda na osiągnięcie porozumienia. I bez wątpienia dla niego najłatwiejsza, osądziła teraz Vanessa.

W dodatku coraz więcej czasu spędzali osobno. W każdym razie tak jej się wydawało.

Mieli odmienne zainteresowania i z dala od siebie zdobywali nowe doświadczenia. Proces dojrzewania każdego z nich przebiegał w inny sposób.

Przestaliśmy już być małżeństwem, pomyślała. Udajemy tylko. Wiąże nas ze sobą jedynie... Co? Stwierdziła nagle, że nie wie, co ich ze sobą łączy. Chyba tylko przyzwyczajenie. A także lojalność. I brak lepszego miejsca, w którym mogliby zamieszkać, albo osoby, z którą mogliby dzielić życie. A może zwykła wygoda? Vanessa nie miała pojęcia, dlaczego wciąż są ze sobą. Być może ze wszystkich tych powodów po trochu.

Odłożyła ołówek na obramowanie rysownicy, odchyliła się do tyłu na krześle z wysokim oparciem i ogarnęła wzrokiem rozpościerającą się przed nią panoramę. Myśli jak szalone kłębiły się w jej głowie.

Pracownia mieściła się w budynku położonym w centrum miasta, w Soho, u zbiegu ulic Mercer i Grand.

Została przerobiona ze strychu na piątym piętrze i miała wychodzące na południe okno. Vanessa od pierwszej chwili zachwyciła się tym wnętrzem - z powodu jego przestronności i niezwykle, naturalnego światła.

Za każdym razem rozkoszowała się dobrze sobie znanym widokiem i nigdy nie była znużona obserwowaniem tego zakątka Manhattanu. Tuż przed jej oczami wznosiły się okazałe dziewiętnastowieczne budynki, a zaraz za nimi wzbijały się w niebo dwie nowoczesne bliźniacze wieże World Trade Center, całe z czarnego szkła i stali. I Różne epoki umieszczone obok siebie - często nasuwała się jej taka refleksja. Przeszłość.

Teraźniejszość. Przyszłość.

Potajemny romans

Przyszłość. Słowa te zawirowały jej w głowie. Co było jej pisane?

Dalsze małżeństwo z Peterem? I kontynuowanie kłamstwa, jakim był ich związek... a właściwie to, co z niego zostało?

Czy odejdzie od męża?

Co przyszłość chowała dla niej w zanadrzu? Życie bez Petera Smarta, jedynego mężczyzny którego zaznała, nie licząc Billa Fitzgeralda? Choć to również nie w pełni odpowiadało prawdzie. Był jeszcze pewien młody człowiek -Steven Ellis, sympatia ze studenckich czasów - jej pierwszy i jedyny kochanek, dopóki nie poznała Petera i nie wyszła za niego za mąż.

A teraz jej kochankiem był Bill Fitzgerald. Ma z nim potajemny romans. Czy to z powodu Billa spojrzała nagle prawdzie w oczy? Czy związek z nim zmusił ją po raz pierwszy od wielu lat do uczciwej oceny własnej sytuacji? To było więcej niż pewne. I stało się za sprawą Billa oraz uczucia, jakim go darzyła - dobiegł ją cichy szept własnych myśli.

Westchnęła ciężko. Nie wiedziała, co dalej ze sobą począć. Czy powinna uświadomić Peterowi, że ich małżeństwo jest tylko pozorem? Co by się stało, gdyby to zrobiła? Na co liczyła? Mógł zaproponować, żeby spróbowali naprawić ich związek i zacząć wszystko od początku. Dokąd by ją to zaprowadziło? Czy tego chciała? Przyszłości z Peterem Smartem?

To, co powiedziała Billowi o mężu, odpowiadało prawdzie. Peter był porządnym i przyzwoitym człowiekiem. I kochał ją na swój sposób. Co więcej, bardzo o nią dbał i pomagał w zawodowej karierze. Na różne sposoby okazywał jej troskliwość, można było na nim polegać, był rzetelny i lojalny.

Nie wątpiła w to, że jej odejście mocno by go zraniło i unieszczęśliwiło. Był od niej zależny w wielu sprawach. Dlaczego miałyby właściwie odchodzić od Petera? Z powodu Billa? Tak.

Przecież Bill cię o to nie prosił - szepnął jej jakiś głos. -Nie składał ci żadnych obietnic. Szczerze mówiąc, bardzo

Potajemny romans

61

prędko przystał na romans i na to, by utrzymywać go w sekrecie. Zgodził się na odgrywanie roli potajemnego kochanka. A właściwie nawet sam to zasugerował - dodał głos.

Ale czy jej życie z Peterem - niezależnie od pojawienia się Billa - nie było... puste? Tak, było. Banalne? Tak. Samotne? Pod wieloma względami tak. Nic już ich ze sobą nie wiązało, w każdym razie ona tak to postrzegala i odczuwała. Być może on myślał inaczej. Być może mniej niż ona oczekiwał od tego związku.

Czego właściwie pragnęła w małżeństwie?

Uczucia. Miłości. Ciepła. Koleżeństwa. Wspólnych przeżyć. Seksualnego zafascynowania. Zrozumienia.

Czyżby miała wobec swojego mężczyzny zbyt wygórowane oczekiwania? Z pewnością nie. Ona była w stanie dać mu to wszystko.

A ostatnio Peter niewiele jej z tego oferował. Wręcz przeciwnie. Czy to nie jeden z powodów, dla którego zdecydowała się pójść z Billem do łóżka? Tak, odpowiedział jej wewnętrzny głos. Ale stało się to również dlatego, że Bill nieprawdopodobnie ją pociągał. Czy zakochała się w nim? Tak, temu też nie mogła zaprzeczyć. Czyż nie uświadomiła sobie tego już wtedy, w Wenecji?

Szaleństwem było tak się zadurzyć po uszy, pomyślała Vanessa.

* * *

Zapadł zmierzch, gdy opuściła pracownię i wsiadła do taksówki. Jechała w stronę willowej dzielnicy miasta, a życiowe problemy znowu zaprzętnęły jej myśli. Jak dotąd ich roztrząsanie okazało się całkiem bezowocne i Vanessa nie znalazła odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Tylko jednego była pewna: wenecka przygoda z Billem oraz uczucie, jakie nimi zawładnęło, unaocznily jej niedostatki pożycia małżeńskiego z Peterem. Nie znoszę porównań, pomyślała. Są ohydne. Ale w mojej sytuacji trudno się od nich powstrzymać. Nagle uderzyło ją spostrzeżenie, że Peter odmawia jej swojej miłości i siebie. Tak samo, jak odmówił jej dziecka.

Natychmiast odsunęła od siebie tę myśl, nie chcąc rozważać jej dłużej.

Pod wpływem nagłego impulsu pochyliła się ku kierowcy.

-Muszę się po drodze zatrzymać - oznajmiła. - Chcę zajrzeć do magazynu Lord & Tylor.

- Dobrze, proszę pani - odparł kierowca. I na wysokości East Thirty-ninth skręcił z Madison w lewo, zmierzając w kierunku zachodniej części Fifth Avenue, gdzie znajdowały się znane sklepy firmowe.

Gdy zaparkował taksówkę przy jednej z przecznic, Vanessa zapuściła się w głąb alei, aby pooglądać udekorowane świątecznie wystawy. Pamiętała je z czasów dzieciństwa. Najpiękniejsze w całym mieście witryny pełne były zdumiewających mechanicznych zabawek. Zapierające dech w piersiach sceny ze znanych baśni wywierały magiczny wpływ na każde dziecko.

Przyciskając nos do szyby, tak jak to zwykła robić, gdy była małą dziewczynką, uśmiechnęła się w duchu, podziwiając śliczną baletnicę w różowej spódniczce, która wykonywała piruety w takt „Cukierkowej wróżki”. Rozbrzmiewająca na ulicy muzyka wywołała tak wielki napływ wspomnień, że Vanessa niespodziewanie poczuła ucisk w gardle.

Kiedy tylko rodzice przebywali w czasie świąt Bożego Narodzenia w mieście, zawsze zabierali ją do opery na „Dziadka do orzechów”. Przyprawdzali ją również tutaj, aby mogła obejrzeć wystawy przed wejściem do sklepu i wyjawieniem świętemu Mikołajowi swoich życzeń. Czasami spędzali święta w Kalifornii albo w Paryżu czy w Londynie, w zależności od filmu lub sztuki, w której jej matka aktualnie grała, a także od tego, co w danym momencie reżyserował jej ojciec, Terence Stewart. Była ich jedynym dzieckiem i zawsze ją wszędzie ze sobą zabierali. Nigdy nie ucierpiała z powodu ich artystycznych karier. Niezmiernie ją kochali. Miała cudowne dzieciństwo, a rodzice wciąż byli jej bardzo bliscy.

W końcu oderwała się od wystawy. Niespodziewanie przepelnił ją bezgraniczny smutek. Poczula się bardzo samotna. Znowu dotkliwie dało znać o sobie wrażenie całko-

witej pustki. Czasami nachodziło ją to uczucie, choć na ogół potrafiła się z nim uporać. Wiedziała, co tak na nią wpływa - pragnienie posiadania własnego dziecka. Peter nie chciał brać na siebie rodzicielskiej odpowiedzialności. Musiała więc pogrzebać w sobie głęboko marzenie o macierzyństwie i rzucając się w wir pracy, postarać się o nim zapomnieć. Czasami jednak, tak jak w tej właśnie chwili, ogarniała ją straszliwa tęsknota. Starła się ją uciszyć i zagłuszyć. . .

Pchnęła obrotowe drzwi i weszła do sklepu, skupiając myśli na Helenie, córeczce Billa. Szukała dla niej czegoś wyjątkowego. Dziewczynka miała sześć lat, a dziecku w tym wieku można było kupić tak wiele rzeczy.

Wjechała windą do działu dziecięcego, spędziła dobre dziesięć minut rozglądając się wokół i opuściła stoisko z pustymi rękami. Nic nie przykuło jej uwagi.

Pospiesznie kierując się do wyjścia na głównym piętrze, zatrzymała się po drodze, żeby kupić trykoty i ciepłe skarpety do botków. Zanim wróciła do taksówki, nabyła również pastele do oczu.

* * *

Kiedy otworzyła drzwi do mieszkania przy East Fiftyseventh, zdumiała się, że mąż był w domu. Nigdy nie wracał przed siódmą ze swojej kancelarii.

Otrzepywała w przedpokoju wierzchnie okrycie, gdy Peter wyszedł z sypialni. W ręku trzymał kilka jedwabnych krawatów. Rozpromienił się na widok Vanessy.

- Witaj, moja najśłodsza - powiedział, uśmiechając się szeroko

- Wcześniej dzisiaj wróciłeś - zauważyła, podchodząc do niego. . .

Przytaknął, a gdy stanęła przy nim, pocałował ją w policzek.

- Chciałem się spakować przed kolacją.

- Spakować? - Zmarszczka przecięła prostą linię jej szerokich brwi. - Dokąd wyjeżdżasz?

- Do Londynu. Jutro rano. Muszę się spotkać z Alexem Lawsonem. Jak ci wiadomo, kręci tam teraz film.

Dopraco-

wąłem w końcu jego kontrakt na dwa kolejne filmy Musimy go teraz omówić i wyjaśnić wszystkie szczegóły. Tym razem jest trochę bardziej zawily niż zazwyczaj.

- Ach tak, rozumiem.

- Nie rób takiej ponurej miny, Vanesso. Wrócę za dziesięć dni, tuż przed samymi świętami.

- Czy aż dziesięciu dni potrzeba na zapoznanie aktora z umową? A może Alex Lawson jest wyjątkowo tępy?

- Vanesso! Jak możesz tak mówić o największym amancie Hollywood? - powiedział ze śmiechem, szczerze ubawiony jej komentarzem. -1 to kto jak kto, ale ty! Córka ludzi pracujących w show-biznesie.

Kiedy nie odpowiedziała i odwróciła się do niego plecami, chwycił ją za rękę i delikatnie przyciągnął do siebie.

- Sądziłem, że spędzimy Boże Narodzenie w jakimś egzotycznym miejscu. W Meksyku... na Bali... w Tajlandii Gdziekolwiek zechcesz.

- Moja matka przyjeżdża do Nowego Jorku na święta -Głos jej się załamał. Nagle ogarnęło ją przygnębienie.

- W^porządku, a zatem zostajemy, nie ma problemu. Miałem tylko taki pomysł. Zrobimy, jak zechcesz, moja słodka.

Wrócił do sypialni. Vanessa poszła za nim, położyła torbę ze sprawunkami na łóżku i usiadła obok.

Peter był pochłonięty wybieraniem krawatów. Kiedy się odwrócił i dostrzegł wyraz twarzy żony, obrzucił ją zdumionym wzrokiem.

- O co chodzi? - spytał, zbliżając się do łóżka i stając przed nią. J^

Wytrzymała jego badawcze spojrzenie. Nadal nie opuszczał jej refleksyjny nastrój. Mąż miał trzydzieści osiem lat Szczupły, atrakcyjny i w kwiecie wieku, posiadał towarzyską naturę, wrodzony wdzięk i cieszył się sympatią zarówno przyjaciół, jak i klientów. Był błyskotliwym prawnikiem i w ciągu zaledwie kilku lat osiągnął wielki sukces w swoim zawodzie. A to mu wyraźnie służyło. Peterowi Smartowi wszystko się udawało. I tylko jego osobiste życie pozostawiało wiele do życzenia. Nikt nie wiedział tego lepiej niż ona. Dzielila je z nim. Było puste, jałowe i bezcelowe. Podobnie jak i jej własne. Czyż tego nie dostrzegał? A może

nie przywiązywał do tego wagi? Myśl, która się jej nagle nasunęła, przytłoczyła ją niczym tona cegieł. Czyżby w jego życiu była inna kobieta? I dlatego nie miał już Vanessie niczego do zaoferowania?

- Dziwnie wyglądasz - zauważył cicho. Odchrząknęła.

-Przykro mi, że wyjeżdżasz. Miałam nadzieję, że spędzimy razem spokojny weekend. Chciałam z tobą porozmawiać.

- O czym? - zapytał, marszcząc brwi.

- O nas.

- To zabrzmiało bardzo poważnie.

-Bo to jest poważne. Widzisz... ostatnio nie najlepiej nam się układa.

- Nie rozumiem, co masz na myśli, Vanesso - powiedział zaskoczony.

- Co będzie z naszym życiem, Peter? - Przeszyła go przenikliwym spojrzeniem. - Najwyraźniej... oddaliśmy się od siebie.

- Nie bądź głuptasem! - zawołał i wybuchnął śmiechem, widocznie rozbawiony. - Nasze życie jest całkiem udane. Ty odnosisz zawodowe sukcesy. Wybrałaś pracę, którą kochasz, i jesteś znakomita w tym, co robisz. A i ja nieźle sobie radzę w mojej prawniczej kancelarii. Czego można chcieć więcej? Dlaczego więc pytasz, co będzie z naszym życiem? Nie pojmuję, o co ci chodzi, Vanesso.

W jednej chwili dotarło do niej, że Peter jest szczerze zdumiony.

- Nigdy nie jesteśmy razem! Wiecznie w rozjazdach! -wykrzyknęła. - A jeśli już przypadkiem przebywamy w tym samym mieście, to pracujesz do późna. Ostatnio nie masz mi wiele do powiedzenia, Peter. Pozostaje jeszcze jedna kwestia: nie jesteśmy już tak jak niegdyś sobie bliscy pod względem fizycznym. - Na końcu języka miała pytanie o jego kochankę, ale w ostatniej chwili zmieniła zamysł. Równie dobrze mógł ją zapytać o to samo.

Z żalną miną potrząsnął głową, a z jego oczu zniknął wyraz rozbawienia. Rzucił krawaty na krzesło, usiadł na łóżku obok żony i wziął ją za rękę.

- Przecież wiesz, że cię kocham, Vanesso. Nic się nie zmieniło. Może prócz tego, że odniosłem sukces, o jakim nawet nie marzyłem. To moja ogromna szansa i nie zamierzam jej zaprzepaścić. Nie mogę sobie na to pozwolić, ponieważ od tego, co zrobię teraz, zależy przyszłość - twoja i moja: nasza wspólna starość.
- Cóż mnie obchodzi starość! - wybuchnęła. - Chcę się cieszyć życiem teraz, póki jeszcze jestem młoda.
- Przecież korzystamy z życia, i to w pełni. Dobrze nam się powodzi, moja słodka. - Spojrzał jej głęboko w oczy i powiedział łagodniejszym tonem: - Być może ostatnio trochę cię zaniedbywałem. Wybacz mi. - Otoczył ją ramionami, próbując pocałować, ale odsunęła się od niego.
- Zawsze uważałeś, że idąc ze mną do łóżka, możesz rozwiązać wszystkie problemy - zauważyła.
- Dotychczas zawsze tak było. Czy to zły sposób?
- Byłoby miło chociaż raz się kochać dlatego, że oboje tego chcemy, a nie tylko dlatego, że ma to załagodzić skutki kłótni.
- Zróbmy to teraz.
- Nie mam ochoty, Peter. Nie jestem w nastroju. Przykro mi, ale dziewczynka dzisiaj wieczorem nie chce się bawić.
- Wzdrygnął się lekko, zdumiony jej sarkastycznym tonem.
- Czy to z powodu dziecka? - spytał z namysłem. - Czy do tego sprowadza się cała rozmowa o oddalaniu się od siebie? O to ci chodzi, Vanesso?
- Nie, nie o to.
- Wiem, że mocno oponowałem... - zaczął i urwał gwałtownie.
- To prawda. Dałeś mi jasno do zrozumienia, że nie chcesz mieć dzieci.
- 1 rzeczywiście nie chcę. To znaczy nie chcę ich mieć teraz, kochanie. Może potem, za kilka lat, zdecydujemy się na powiększenie rodziny.
- Zaprzeczyła ruchem głowy i wypaliła bez zastanowienia:
- Sądzę, że powinniśmy się rozstać, Peter. Wystąpić o rozwód.
- W jednej chwili zmienił się na twarzy. Gwałtownie się wyprostował.

- Ależ to wykluczone! Żadne z nas nie chce rozwodu. Co za głupi pomysł! Jesteś po prostu przemęczona pracą nad nową kolekcją.

Vanessa przyjrzała mu się uważnie. Uświadomiła sobie, że mąż boi się ją stracić. Spostrzegła lęk w jego oczach. Ponieważ milczała, Peter dodał prędko:

- Obiecuję ci, Vanesso, że odtąd nasze życie będzie wyglądało inaczej. Szczerze mówiąc, sądziłem, że jesteś szczęśliwa i podekscytowana swoimi osiągnięciami w pracy artystycznej. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że między nami się nie układa. Wierzysz mi?

- Tak - mruknęła znużona. - Wierzę ci, Peter. - Wstała z łóżka i skierowała się ku drzwiom. Uczucie zawodu sprawiło, że zrobiło jej się ciężko na sercu.

- Nie mamy w domu prawie nic na kolację. Czy zadowolisz się makaronem z serem i sałatą?

- Oczywiście, że nie. Zapraszam cię gdzieś na miasto. Może skoczymy do „Mr Chowsa” tuż obok?

Vanessa pokręciła głową.

- Nie mam ochoty na chińską kuchnię.

- W takim razie chodźmy do pubu „U Neary'ego”. Jimmy zawsze tak serdecznie nas wita i dobrze wiem, że bardzo lubisz ten lokal.

Rozdział 9

SOUTHAMPTON, LONGISLAND, grudzień 1995

Vannesa obrzuciła krytycznym wzrokiem salon, jak gdyby widziała go po raz pierwszy. Wyglądał ubogo i był wyraźnie zaniedbany.

Nie przeszkadzał jej skromny wystrój wnętrza. Spłowiałe tapety, mocno sprane zasłony i sfatygowany staromodny dywan stanowiły o jego rzeczywistym uroku. Tym, co Vanessa niepokoiło, było ogólne zapuszczenie. Opiekująca się domkiem letniskowym kobieta dokładała wszelkich starań, aby utrzymać go w czystości i w porządku. A jednak, zwłaszcza duży pokój, sprawiał wrażenie, że nie jest dostatecznie wypucowany.

Za kilka godzin miał przybyć Bill, by spędzić z Vanessą półtora dnia. Ciągle tułał się po podrzędnych hotelach w strefach przyfrontowych, dlatego zależało jej na tym, żeby czuł się tutaj jak najlepiej.

Gdy rodzice Vanessy rozwodzili się przed kilkoma laty, nie wiedzieli, co zrobić z chatą. Żadne z nich nie chciało jej zatrzymać, a jednocześnie - z sentymentalnych powodów - nie kwapili się z jej sprzedażą. Oboje mieli słabość do tego letniskowego domku.

W końcu postanowili podarować go córce, czemu była szczerze rada.

Posiadłość leżała na odległym krańcu Southampton i obejmowała trzy akry ziemi ciągnącej się aż po piaszczyste wydmy Oceanu Atlantyckiego.

Oszalowany deskami budynek, położony z dala od eleganckiej dzielnicy miasta, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był zbudowany z kamienia i liczył sobie prawie czterdzieści lat. Znajdowały się w nim cztery sypialnie, przestronna kuchnia, salon i biblioteka. A z dużej krytej werandy na jego tyłach rozciągał się widok na morze.

Kiedy posiadłość stała się własnością Vanessy, przerobiła starą stodołę z czerwonej cegły na pracownię i biuro, a kamienną stajnię wykorzystwała na małą odlewnię z piecem do wypalania szkła. To tutaj spędzała większość czasu, projektując i ręcznie modelując prototypy, które potem zabierała ze sobą do Wenecji, gdzie były kopiowane i wydmuchiwane w Murano.

Pochłonięta pracą, nie poświęcała dotychczas większej uwagi wyglądowi chaty. Tu i ówdzie piętrzyły się sterty starych gazet i magazynów, które z jakichś powodów zachowała, a na skrzyni i na podłodze poniewierały się stosy książkowych nowości, które pewnego dnia miała nadzieję przeczytać. Kwiaty w olbrzymich wazonach, tak okazale prezentujące się latem, dawno już straciły barwę i większość płatków. Spojrzała na zegarek. Była dopiero ósma rano. Bill miał przybyć o pierwszej. Mavis Glover, kobieta od lat zajmująca się sprzątaniami, zwykle przychodziła o dziewiątej.

Nie czekając na nią, Vanessa pozbierała książki, zniosła je do biblioteki i znalazła dla nich miejsce na półkach. Przez całą godzinę uwijała się w salonie, wyrzucając niepotrzebną prasę i uschnięte badyle.

W końcu stanęła na środku pokoju, obrzuciła go taksującym spojrzeniem i uznała, że dzięki jej zabiegom przedstawia się o wiele sympatyczniej. Teraz, gdy nie był tak zagracony, rzucały się w oczy staroświeckie meble pochodzące z francuskiej farmy, co znacznie poprawiło ogólny wygląd. Ciemny odcień drewna, z którego były wykonane, ożywiały białe ściany; podobnie jak niebieskie perkalowe zasłony w różowe i czerwone tulipany w oknach oraz obicia kanap i krzesel.

Całkiem nieźle, pomyślała Vanessa i pospiesznie skierowała się do dużej kuchni z jadalnią. Ubiegłego wieczoru

włożyła do wody cięte kwiaty, które przywiozła z miasta. Jeden z wazonów zaniósła teraz do salonu, a drugi na górę, do swojej sypialni.

Niegdyś znajdowało się tutaj prywatne sanktuarium jej rodziców. Vanessa uważała, że to najładniejszy pokój w całym domku. W każdym razie był najbardziej przestronny. Miał kilka okien, z których roztaczał się widok na piaszczyste wydmy i na ocean za nimi, a w wewnętrzną ścianę wbudowano duży kamienny kominek.

Dzięki niebiesko-żółtej kolorystyce pokój wydawał się wesoły i słoneczny nawet w najbardziej pochmurne dni. Był bardzo wygodny, wręcz luksusowy.

Vanessa prędkim krokiem podeszła do znajdującego się nieopodal kominka stolika, postawiła na nim żółte róże i ruszyła do łazienki, aby wziąć prysznic. Postanowiła, że Mavis dokończy porządków, a ona sama zajmie się przygotowaniem obiadu, gdy będzie już ubrana i umalowana.

Stojąc pod prysznicem rozkoszowała się gorącą wodą spływającą po skórze i rozmyślała o Billu. Tak jak zapowiedział, wrócił do Nowego Jorku przed pięcioma dniami - w ubiegły piątek piętnastego grudnia.

Spotkali się w niedzielę, a także w poniedziałek i pośpiesznie wypili kilka drinków. W ciągu dnia Bill był zajęty w telewizji, a kiedy miał wolną chwilę, Vanessa nie chciała zajmować czasu, jaki należał się jego córce. - Przyjadę do ciebie w środę rano - oznajmił przy ostatniej kolejce u Carlyle'a. - Będę mógł zostać aż do czwartku, jeśli ci to odpowiada. Co o tym sądzisz?

Uznała nowinę za zachwycającą, a jej rozpromieniona twarz zastąpiła odpowiedź.

Niecierpliwiła się, pragnąc jak najprędzej go zobaczyć i znaleźć się w jego ramionach. Na samą myśl o kochaniu się z nim czuła mrowienie na całym ciele. Ocknęła się nagle i zakręciła wodę.

Szkoda czasu na fantazjowanie, skarciła się w myślach, sięgając po ręcznik. W końcu już za parę godzin jej marzenia miały się ziścić.

Wytarła się do sucha, pośpiesznie wciągnęła ciepły czerwony sweter i mocno sprane niebieskie dżinsy. Dzień był

zimny, dlatego zdecydowała się na białe wełniane skarpetki i brązowe mokasyny. Jediną ozdobą, jaką miała na sobie, była para złotych kolczyków.

Zrobiła lekki makijaż, skropiła się perfumami i zbiegła na dół, żeby przygotować obiad dla Billa.

* * *

Spóźniał się.

Zasiadła w małym bibliotecznym pokoiku, wertowała gazety i snuła domysły, gdzie Bill się teraz podziewa. Miała nadzieję, że nie ugrzązł w ulicznym korku.

Ale przecież w połowie grudnia przed południem na drodze z Manhattanu nie mogło być jeszcze dużego tłoku. Dopiero letnią porą dojazd stawał się koszmarem. Bill powinien dotrzeć bez problemów. Podała mu dokładne wskazówki, a dom nietrudno było odnaleźć, gdyż znajdował się w pobliżu głównej szosy.

O pierwszej czterdzieści pięć, kiedy wciąż go nie było widać, jej niepokój zaczął wzrastać. Zastanawiała się już, czy nie zatelefonować do niego do pracy, gdy usłyszała, że pod dom zajechał samochód. Niezwłocznie pobięła ku drzwiom wejściowym.

Pod wpływem naglej ulgi na widok Billa, który właśnie wysiadł z samochodu i wyjmował z bagażnika torbę, zrobiło się jej słabo. Chwilę później wszedł do domu z promieniejącą uśmiechem twarzą.

Przygarnął ją i mocno przytulił do siebie.

- Wybacz, kochanie - powiedział z ustami w jej włosach. - Zatrzymali mnie w telewizji, a potem miałem kłopot z wydostaniem się z Nowego Jorku. Na ulicach ogromny dzisiaj tłok. Przypuszczam, że to z powodu przedświątecznych zakupów.

- Wszystko w porządku... bałam się, że coś ci się stało.

- Mnie nic złego nie spotka - rzucił uspokajająco i charakterystycznym ruchem uniósł jej twarz do góry.

- Chodźmy do salonu. Tam jest cieplej - zaproponowała, biorąc go pod ramię. - Schłodziłam białe wino, a może wolisz whisky?

- Chętnie napiję się wina.

Stanęli przy huczącym kominku, sączyli alkohol i przyglądali się sobie.

- Tęskniłem za tobą, Vanesso.

- Mnie również ciebie brakowało.

- Nieustannie o tobie myślę. –I ja.

- To zabawne - zauważył cichym głosem, uporczywie się w nią wpatrując. - Wydaje mi się, że zawsze byłaś w moim życiu i że znam cię od dawna.

- To samo mogę powiedzieć o tobie, Bill. Pokręcił głową i uśmiechnął się blado.

- Nie śmiałem cię dotknąć, gdy byliśmy w barze u Carly-le'a. Zbyt mnie rozpalasz.

Utkwiła w nim oczy, nie odzywając się ani słowem. Przyglądał się jej w napięciu.

A potem odstawił oba kieliszki na obramowanie kominka, przysunął się do niej i mocno objął. Pocałował ją i przygarnął do siebie, pragnąc, by odczuła, jak bardzo go podnieca. Vanessa wzmocniła uścisk, odpowiadając żarliwie na pieszczotę, co roznamiętniło go jeszcze bardziej.

- Strasznie cię pragnę. Chcę mieć ciebie blisko - powiedział cichym, ochrypłym głosem.

Wyswobodziła się z jego uścisku, skinęła głową, wzięła go za rękę i zaprowadziła po schodach do sypialni.

Odczuwając nagłą potrzebę zbliżenia, w ogromnym pośpiechu zrzucili z siebie ubrania i padli na łóżko. Ręce Billa błędziły po całym jej ciele. Jego czule i delikatne pieszczoty doprowadzały Vanessę do krańcowego rozgorączkowania.

Nie mogli się sobą nasycić. Nie przestawał jej całować, a ona odwzajemniała pocałunki z taką samą namiętnością, jaką zapamiętał z Wenecji. Bill napawał się bliskością Vanessy. Jej rozpaczliwa potrzeba zespolenia się z nim sprawiała mu prawdziwą rozkosz. Jego pragnienie było równie gwałtowne. Pożądanie, jakie w nim wzbudzała, było głębokie i niewyczerpane.

Wyprostował się, po czym wziął ją nagle, prędko w nią wchodząc. Dobiegł go jej urywany oddech. Zaskoczyło go to i przepełniło radością. Przywarła do niego, mocno go

obejmując i zaciskając nogi na jego plecach. Jednocześnie poczuli narastającą falę rozkoszy.

W milczeniu leżała w jego ramionach.

Popołudniowe promienie zimowego słońca rzucały nikły blask na żółte ściany, tworząc na nich złote zarośla. Jedynymi dźwiękami był cichy oddech drzemiącego Billa i dobiegający zza okien odległy i ledwie słyszalny huk Oceanu Atlantyckiego.

Cisza uspokajała Vanessę.

Kochali się nawet bardziej gorączkowo niż w Wenecji. Wzajemne pożądanie obezwładniało ich i oszalało. Potem wpatrywali się w siebie zadziwieni. A panujący teraz spokój był dla niej niczym balsam.

Przeciągnęła się ostrożnie, żeby nie obudzić Billa. Upajała się poczuciem spełnienia. Jej reakcje były zaskakujące dla niej samej. Za każdym razem kiedy się kochali, wzbijała się coraz to wyżej i wyżej i osiągała coraz większą rozkosz. I zawsze potem kręciło się jej w głowie.

Pod wieloma względami nie poznawała samej siebie. Zdawała sobie sprawę z tego, że od czasu poznania Billa Fitzgeralda dokonała się w niej ogromna przemiana. Sprawił, że stała się bardziej wrażliwa i zmysłowa.

Dzięki niemu czuła się w pełni kobietą.

Uniosła się na łokciu i spojrzała na niego. Jego twarz podczas snu wygładziła się i zniknął zupełnie, tak często na niej goszczący, wyraz napięcia i strapienia. Bill wyglądał bardzo młodo i wydawał się całkiem bezbronny.

Ich wzajemna bliskość nie ograniczała się jedynie do spraw seksu, ogarniała także ich serca i umysły.

Doskonale się rozumieli, co stwarzało szczególny, rzadko spotykany rodzaj więzi.

Wiedziała, że jest w nim zakochana, że pragnie na zawsze z nim pozostać. Ale czy to było możliwe? I w jaki sposób mogło się ziścić? Nie była przecież wolna. Miała męża, który ją kochał i bał się ją stracić. I który zasługiwał na jej lojalność i szacunek.

Do głowy cisnęły się niepokojące myśli o Peterze. Starła się je od siebie odsunąć. Na rozważania o przyszłości by-

ło jeszcze za wcześnie... Postanowiła, że później się nad tym zastanowi.

Tylko jednego była niezachwianie pewna: przy Billu Fitz-geraldzie czuła się sobą - bez udawania i sztucznej pozy. Przy nim była prawdziwą Vanessą Stewart.

Zaniosła na tacy jedzenie i butelkę białego wina do sypialni na piętrze, gdzie przy kominku urządzili sobie małą ucztę. Posilili się kanapkami z wędzonym łososiem, serem brie oraz jabłkami, wychylili po kieliszku wina, a potem ubrali się i wyszli na spacer.

Blade słońce wciąż świeciło na jasnoblękitnym niebie, ocean zaś iskrzył się srebrem w jego promieniach.

Dzień był wietrzny, a silny szkwał smagał tafle wody i wzbijał kłębiące się bałwany.

Mocno opatuleni płaszczami i szalikami, obejmując się, spacerowali wzdłuż wydm. Całkowicie pochłonięci sobą oraz intensywnością wzajemnych uczuć, nie dostrzegali otaczającego ich świata.

W pewnej chwili Bill się zatrzymał, obrócił jej twarz ku swojej i spojrzał w jej wyraziste szare oczy.

- Jestem szczęśliwy! - zawołał. - Nie czułem się tak już od lat!

- Co powiedziałeś? - spytała, starając się przekrzyczeć ryk oceanu.

- Nie czułem się tak szczęśliwy od lat - powtórzył, uśmiechając się do niej. Chwycił ją wpół i przygarnął do siebie. - Kocham cię - szepnął jej do ucha. - Kocham cię, Vanesso Stewart.

-1 ja cię kocham, Billu Fitzgeraldzie.

- Nie dosłyszałem - przekomarzał się z nią.

- Kocham cię, Billu Fitzgeraldzie! - zawołała całą mocą płuc.

Jego radosny śmiech wypełnił powietrze. Zawtórowała mu, przytulając się do niego.

A potem, gnani porywami wichru, pobiegli piaszczystą plażą, trzymając się za ręce. Poddając się miłosnej euforii, napawali się radością życia i wzajemną obecnością.

Wieczorem siedzieli przed kominkiem w jej sypialni i słuchali koncertu skrzypcowego Mozarta. Gdy Vanessa w pewnej chwili spojrziała na Billa, dostrzegła nienaturalne napięcie jego ramion. Patrzył w płomień i był pogrążony w myślach.

- Dobrze się czujesz? - spytała cicho. - Czy coś się stało, Bill? - naciskała, gdy nadal milczał. Podniósł głowę i popatrzył jej prosto w oczy. Ale wciąż się nie odzywał. - O co chodzi, kochanie? - dopytywała się, zaniepokojona posępnym wyrazem jego twarzy. - Wydajesz się zmartwiony... a nawet nieszczęśliwy.

Ociągał się z odpowiedzią i unikając jej wzroku, ponownie zapatrzył się w płomień.

- Nie nadaję się do tej gry - stwierdził w końcu. Zmarszczyła brwi i przez chwilę przyglądała mu się w osłupieniu.

- Ani ja.

- Dzisiaj powiedziałem, że cię kocham. I to prawda. Miał tak niepewną minę, że nie zdołała powstrzymać okrzyku:

- Ja także cię kocham, Bill. To nie są puste słowa. Wątpisz w moją szczerłość?

Milczał.

- Jak możesz mi nie ufać? - zawołała, podnosząc głos. - Przecież nie sposób udawać uczuć, jakie nas łączą od pierwszej chwili.

- Wiem o tym. Opatrznie zrozumiałaś moje milczenie - wyjaśnił pośpiesznie. - Wierzę w twoje głębokie uczucie. - Pochylił się do przodu, chwycił ją za rękę i mocno ścisnął w swoich dłoniach. - Chciałbym tylko, abyś wiedziała, że mam w stosunku do ciebie poważne zamiary... - Umilkł, przeszywając ją wzrokiem. - I zrobię wszystko, żeby cię przy sobie zatrzymać. - Vanessa skinęła głową. - Chcę, żebyś zawsze o tym pamiętała.

- Dobrze, Bill.

- Nigdy nie pozwolę ci odejść.

- Możesz kiedyś zmienić zdanie... - urwała, dostrzegając jego srogą minę.

76

Potajemny romans

- Nie zmienię.

Oparła się plecami o kanapę i zapatrzyła bezwiednie w wiszący nad kominkiem obraz.

- Co zamierzasz zrobić? - zagadnął ją cichym głosem.

- Poproszę Petera o rozwód.

- Nie masz wątpliwości, że właśnie ze mną chcesz być? -Nie.

- To tak jak ja. Nigdy w życiu nie byłem niczego bardziej pewien.

Przysunął się bliżej, objął ją i przytulił. Miał wrażenie, że trzyma w ramionach cały świat. Była dla niego stworzona; była jedyną kobietą, jakiej pragnął.

Rozdział 10

NOWY JORK, grudzień 1995

Bill umówił się z Vanessą o wpół do pierwszej w „Tawernie na Murawie”. Kiedy weszła do tej słynnej restauracji w Central Parku, zrozumiała, jak świetnego dokonał wyboru.

Lokal, zawsze wytworny, w okresie Bożego Narodzenia wyglądał wręcz olśniewająco. Przyciągały wzrok pięknie udekorowane choinki i girlandy maleńkich lampek migoczących bajecznie kolorowymi światełkami; wazony z gałązkami ostrokrzewu oraz różowe i czerwone gwiazdy betlejemskie w drewnianych donicach dodatkowo wzbogacały wnętrze.

Wspaniałe żyrandole z weneckiego szkła, należące do stałego wystroju głównej sali, podkreślały jeszcze świąteczną atmosferę.

Bill natychmiast spostrzegł Vanessę. Wstał od stolika i pospiesznie ruszył w jej stronę.

Gdy się zbliżał, pomyślała, że jest niezwykle przystojny. Jej uwagi nie uszedł również jego starannie dobrany strój. Bill miał na sobie granatowy blezer, niebieską koszulę, granatowy krawat i popielate spodnie. Był wymuskany od czubka głowy po wypolerowane półbuty.

Chwycił ją za rękę, pochylił się nad nią i szepnął:

-Wspaniale wyglądasz, kochanie - konwencjonalnie cmoknął ją w policzek. - Chodź, chcę ci przedstawić dwie inne damy mojego serca - dodał i z dumnym uśmiechem na ustach poprowadził ją do stolika.

Vanessa natychmiast spostrzegła, jak atrakcyjną i elegancką kobietą jest jego matka. Wprost trudno było uwierzyć, że ma sześćdziesiąt dwa lata. Ubrana w ciemnoczerwoną wełnianą suknię, z pięknie uczesanymi kasztanowymi włosami, wyglądała raczej na starszą siostrę Billa niż na jego matkę.

Obok pani Fitzgerald siedziało najśliczniej sze dziecko, jakie Vanessa kiedykolwiek widziała. Dziewczynka miała delikatne i doskonale wyrzeźbione rysy, szeroko rozstawione, chabrowe oczy - odbicie oczu Billa - i błyszczące, ciem-noblond loki, które opadały jej na ramiona.

- Nigdy nie spotkałam tak zachwycającego dziecka - zawołała cicho do Billa. - Uroda Heleny... wprost zapiera dech w piersiach.

Ścisnął ją za ramię.

- Dziękuję, rzeczywiście jest uroczym szkrabem, nawet ja muszę to przyznać.

Gdy podeszli do stolika, Bill dokonał prezentacji:

- Mamo, chciałbym ci przedstawić Vanessę Stewart. Va-nesso, to jest moja mama, Drucilla.

- Miło mi panią poznać, pani Fitzgerald - powiedziała Vanessa, ujmując wyciągniętą dłoń matki Billa.

- Witam panią, pani Stewart. - Drucilla uśmiechnęła się ciepło.

- Proszę mówić mi po imieniu, pani Fitzgerald - zaproponowała Vanessa.

- Pod warunkiem, że będzie mnie pani nazywać Dru, tak jak wszyscy.

- Dziękuję, to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Vanessa spojrzała na małą dziewczynkę w niebieskiej, wełnianej sukience, która przyglądała się jej z ogromnym zaciekawieniem.

- A ty pewnie jesteś Helena - stwierdziła, wyciągając dłoń do sześciolatniego dziecka.

- Tak - przytaknęła poważnie dziewczynka, podając jej rękę.

- To jest Vanessa - oznajmił Bill.

- Ogromnie się cieszę, że mogę cię poznać, Heleno - powiedziała Vanessa, siadając na krześle, które Bill jej przysunął.

- Czego się napijemy? - spytał, obrzucając je wszystkie spojrzeniem. - Co powiecie na szampana?
 - Dobry pomysł - oświadczyła Vanessa.
 - Też tak uważam - zgodziła się matka Billa.
 - Czy to jakaś uroczystość? - zainteresowała się Helena, podnosząc wzrok na ojca i przechylając na bok głowę.
 - Dlaczego o to pytasz, króliczku?
 - Babcia mówi, że szampan jest tylko na szczególne
 - A zatem uznajmy tę okazję za szczególną - odparł Bill, a w jego oczach odmalowała się widoczna miłość do dziecka.
 - Dlaczego? - dociekała Helena.
- Bill namyślał się przez chwilę, spojrzal na swoją matkę i wyjaśnił:
- Dlatego, że jesteśmy tutaj razem, we czwórkę. A także, oczywiście, z powodu świąt Bożego Narodzenia.
 - '- Ale mnie nie dacie napić się szampana - domyśliła się dziewczynka, wnikliwie wpatrując się w ojca i przenosząc po chwili wzrok na Dru. - Prawda, babciu?
 - Oczywiście, że nie - odpowiedziała pani Fitzgerald stanowczo. - Dopóki nie będziesz dorosła.
 - Zamówię zaraz dla ciebie napój „Shirley Tempie”. -Skinął na przechodzącego kelnera, który niezwłocznie podszedł do ich stolika i przyjął zamówienie.
 - Bill miał świetny pomysł, zapraszając nas tutaj - Vanessa zwróciła się do Dru.
 - Rzeczywiście, to fantastyczne miejsce - przytaknęła pani Fitzgerald. - Bill powiedział mi, że poznaliście się w Wenecji - w czasie gdy był tam z Frankiem Petersonem.
 - Tak... - Vanessa zawahała się, lecz spostrzegając rozpromienioną twarz Billa, dodała poufnym tonem: - Obchodziliśmy razem Święto Dziękczynienia.
 - Byliśmy wtedy jedynymi Amerykanami w Wenecji -wtrącił Bill. - Nie mieliśmy więc wyboru, musieliśmy wspólnie je spędzić. I świetnie się bawiliśmy.
 - Chciałabym pojechać do Wenecji - oświadczyła Helena, przenosząc wzrok z ojca na babkę. - Czy będę mogła?
 - Kiedyś zabierzemy cię tam, kochanie - obiecał Bill. -Gdy będziesz trochę starsza.

- Pracujesz z moim tatą? - spytała dziewczynka, zerkając na Vanessę.
- Nie, Heleno. Nie pracuję w telewizji. Jestem projektantką szkła artystycznego.

Na gładkim czole dziecka pojawiły się bruzdy.

- Na czym to polega?
- Wymyślam różne ładne przedmioty do ozdoby domu, które są potem wykonywane ze szkła w Wenecji.
- Ach, tak.

Vanessa sięgnęła ręką pod stół i z plastikowej torebki wyjęła upominek przewiązany dużą różową wstążką.

- To dla ciebie, Heleno - oświadczyła. Dziewczynka przyjęła prezent i przez chwilę przyglądała się ładnemu opakowaniu.

- Co jest w środku?
- Coś, co zrobiłam dla ciebie.
- Mogę rozpakować teraz tę paczuszkę, tato?
- Tak, ale co powinnaś przedtem powiedzieć?
- Dziękuję, Vanesso. - Helena rozwiązała kokardę, zdjęła papier i uchyliła wieczko pudełka.
- Uważaj, to jest bardzo kruche - ostrzegła Vanessa. - Delikatnie odwiń bibułkę.

Helena zrobiła tak, jak jej polecono, i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w szklany upominek. Była to skręcona rurka w kształcie pryzmatu, zwężającego się na jednym z końców. Jego ścianki przechwytywały światło i rozszczepiały je na wszystkie kolory tęczy.

- Och, jakie to śliczne - westchnęło dziecko z zachwytem.
- To sople lodu, Heleno. Jest wielobarwny. Zrobiłam go specjalnie dla ciebie.
- Dziękuję - powtórzyła dziewczynka, trzymając w dłoni drobiazg ze szkła i poruszając nim, aby odbijał blaski.
- Piękny przedmiot - zauważyła Dru. - Jesteś utalentowaną artystką, Vanesso.
- Dziękuję.
- Czy mogę go obejrzeć, Heleno? - poprosił Bill.
- Bardzo proszę, ale bądź ostrożny, tato. Vanessa powiedziała, że jest kruchy.

- Będę uważał - mruknął i biorąc do ręki sopel, strzelił w stronę Vanessy roześmianymi oczami. - Naprawdę cudowny - przyznał, a gdy kelner przyniósł szampana w kubelku z lodem, skinął głową. - Proszę otworzyć - polecił.

Gdy prezent znalazł się znów w pudełku i spoczął obok krzesła Heleny, a alkohol został rozlany do kieliszków, Bill wznosił toast:

- Wszystkiego najlepszego z okazji świąt.

- Wszystkiego najlepszego - powtórzyły wszystkie trzy. Helena upiła łyk swego napoju i zaraz odstawiała go na blat stolika. Odwróciła się do Vanessy, chwilę przyglądała się jej w skupieniu i zapytała z nie ukrywaną ciekawością:

- Czy jesteś dziewczyną tatusia?

Vanessa, zaskoczona otwartością dziecka, zaniemówiła.

- Tak, kochanie - odpowiedział za nią Bill. - Vanessa jest moją dziewczyną. - Uśmiechnął się do córeczki, a potem ponad jej głową spojrzął na matkę i wymownie uniósł w górę brwi.

Drucilla Fitzgerald skinęła z aprobatą. Spodobala się jej ta młoda kobieta, choć знаła ją zaledwie od kilkunastu minut. Było w niej coś szczególnego. Dru wyraźnie to wyczuwała, a zwykle nie myliła się w ocenie ludzi. Uznała, że Vanessę należy ośmielić. Każdy, kto potrafił wywołać wyraz szczęścia na twarzy syna, zjednywał sobie jej zaufanie. Po śmierci Sylvie Bill czuł się straszliwie samotny i przez całe lata był przygnębiony. Od dawna nie widziała go w tak pogodnym i entuzjastycznym nastroju. Nagle odniosła wrażenie, jakby z jej ramion zdjęto ogromny ciężar.

- Zamówmy lunch - zaproponował Bill. - Na co masz ochotę, króliczku?

- Poproszę o jajka z bułką „muffin”, tak jak ostatnio.

- Jajka benedyktyнки - wyjaśniła Dru. - Ja też je bardzo lubię, ale nie sądzę, żeby były dla mnie wskazane. Nie z moim cholesterolem. Chyba będę musiała się zadowolić ciasteczkami z krabów.

Bill spojrzął na Vanessę.

- A co ty zamówisz?

- To samo co twoja mama. Dziękuję.

- Wobec tego ja dotrzymam towarzystwa Helenie i też wezmę jajka benedyktyнки.

Helena dotknęła ramienia Vanessy.

- Zamierzasz poślubić tatę?

Vanessę jeszcze bardziej niż przed chwilą zaskoczyła bezpośredniość dziewczynki i jej nad wiek dojrzałe uwagi. Strzeliła wzrokiem w stronę Billa.

Dru siedziała wyprostowana na krześle i obserwowała ich troje.

Bill uśmiechnął się szeroko do córki.

- Zadajesz za dużo pytań, króliczku, tak jak czasami wujek Frank. Nie wiemy jeszcze, czy się pobierzemy... musimy spędzić ze sobą trochę więcej czasu i lepiej się poznać. - Helena skinęła głową. - Ale obiecuję, że jeśli się już zdecydujemy, ty i babcia pierwsze się o tym dowiecie.

*** * ***

Później, gdy pomagał Vanessie wsiąść do taksówki, szepnął:

- Na nieglupi pomysł wpadła moja córka, nie sądzisz?

- Zupelnie nieglupi - przyznała Vanessa.

- Weź to, kochanie - poprosił, wciskając jej coś do ręki.

- Co to takiego? - zdziwiła się. Stwierdziła, że trzyma w dłoni klucz.

-To od apartamentu, jaki zarezerwowałem na Plaža. Dla nas. Numer 902. Czy możemy się spotkać dzisiaj wieczorem i wypić razem drinka? Powiedzmy, o dziewiątej?

- Oczywiście - odparła, wsuwając klucz do torebki.

Rozdział 11

WENECJA, styczeń 1996

Przez całe popołudnie padało. Z góry lały się nieprzerwanie strugi deszczu. Niebo, zasnutę groźnymi, czarnymi chmurami, przybrało barwę antracytu. Woda w Canale Grande wezbrała i wyglądało na to, że lada chwila wystąpi z brzegów.

Vanessa odwróciła się od okna i dygocząc przeszła w głąb pokoju. Chociaż Bill przed jej przyjazdem z lotniska włączył ogrzewanie, powietrze wciąż było chłodne, a wilgoć zdawała się przenikać do szpiku kości.

Vanessa owinęła się szlafrokiem, mocniej zawiązując pasek, i skuliła się w fotelu nieopodal grzejnika.

Cieszyła się, że znowu są razem w Wenecji. Nie widzieli się od świąt Bożego Narodzenia. Pod koniec grudnia Bill wyjechał z Nowego Jorku i udał się w podróż na Bliski Wschód i do Europy. Tel Awiw, Jerozolima, Amman, Bejrut, Ankara i Ateny - to tylko niektóre z miast, jakie zamierzał odwiedzić. Przygotowywał specjalny reportaż dla CNS poświęcony międzynarodowemu terroryzmowi. Czas miał dla niego istotne znaczenie, ponieważ emisja programu została zaplanowana na początek marca.

Bill przybył do Wenecji na dzień przed Vanessa - odleciał z Aten wieczorem, dokładnie wtedy, kiedy opuszczała Nowy Jork. Zamierzali spędzić ze sobą pięć dni w ich ulubionym mieście. Ona, jak zwykle, zajęta była w hucie szkła w Murano, a on musiał popracować nad swoim scena-

riuszem, ale popołudnia i wieczory zarezerwowali wyłącznie dla siebie.

Na myśl o Billu i o uczuciu, jakim go darzyła, przez usta przemknął jej uśmiech. Nie wyobrażała sobie nawet, że ktoś może dla niej aż tyle znaczyć. Był mężczyzną jej życia. I z nim zamierzała je dalej dzielić. Pragnęli być razem i nic nie mogło im w tym przeszkodzić. Teraz była już tego pewna.

Westchnęła cicho na wspomnienie ostatnich tygodni. Nie licząc kilku spotkań z Billem oraz z jego matką i Heleną, grudzień okazał się niewesołym miesiącem. Peter został w Londynie dłużej, niż zamierzał, a zaraz po powrocie wyjechał do Los Angeles. Był gościem w domu i nie miała okazji, żeby z nim porozmawiać o ich osobistych sprawach. Święta Bożego Narodzenia spędziła w przygnębiającym nastroju.

Wreszcie, na początku stycznia, gdy Peter wrócił z pracy wcześniej niż zwykle, Vanessa przyparła go do muru. Starła się z nim obejść możliwie jak najłagodniej, a jednocześnie nie okazać słabości. Oświadczyła, że pragnie się rozwieść.

Złe przyjął jej decyzję, gwałtownie zaproponował, nieugięcie obstając przy utrzymaniu związku. I choć w końcu przyznał, że ich małżeństwo nie jest już tym, czym było na początku, to nawet nie dopuszczał do siebie myśli o rozwodzie. Po prostu sprzeciwił się pomysłowi Vanessy i nie chciał jej dłużej słuchać. W każdym razie tamtego wieczoru.

Zrozumiała, że nie pozostaje jej nic innego, jak postępować metodą faktów dokonanych. Na dziesięć dni przed wyjazdem do Wenecji zdobyła się na odwagę i zostawiła Petera, przenosząc wszystkie swoje ubrania i osobiste rzeczy do pracowni w Soho.

Na poddaszu, gdzie urządziła swoją pracownię, znajdowała się dość przestronna kuchnia, łazienka oraz dodatkowa toaleta. A gdy Vanessa kupiła kanapę i ustawiła ją w pomieszczeniu wykorzystywanym dotychczas na magazyn, przemieniając go w sypialnię, można tu już było całkiem wygodnie mieszkać.

Najważniejsze jednak było to, że ten krok uzmysłowił Peterowi, z jak ogromną determinacją Vanessa dąży do rozwiązania ich małżeństwa. Jej odejście

było dla niego ogromnym wstrząsem, ale w końcu zrozumiał, że żona całkiem serio myśli o rozwodzie.

„Czyny są zwykle skuteczniejsze od słów, Vanny - zauważyła jej matka. - Lepiej zakończyć to od razu, póki oboje jesteście jeszcze młodzi. Możecie zacząć wszystko od początku i znaleźć sobie nowych partnerów”.

Rodzice Vanessy wspierali ją w decyzji porzucenia Petera. Nie powiedziała im jednak o Billu. Uważała, że postąpi roztropniej, nie zdradzając się na razie ze swoimi zamiarami.

Nagle dobiegł ją odgłos przekręcanego w zamku klucza. Spojrzała ku drzwiom, zerwała się z fotela i rozpromieniona podbiegła do Billa.

Przed kilkoma minutami zszedł na dół, żeby odebrać wiadomość z Nowego Jorku.

- Neil Gooden i Jack Clayton są zachwyceni dotychczasowym materiałem - oznajmił, wymachując faksem w powietrzu. - Neil zapewnił, że nie może się doczekać reszty. Proszę, przeczytaj sama - zaproponował, wręczając jej wydruk.

Przebiegła wzrokiem dwie stroniczki tekstu i zapoznała się z ich treścią.

- Moje gratulacje, Bill. Neil twierdzi, że dokonałeś cudów, i to w niespełna trzy tygodnie. Przepowiada, że program wywoła prawdziwą sensację. Czy nie jesteś uradowany? . .

- Oby jego słowa okazały się prorocze - wyraził nadzieję. Uśmiechnął się szeroko i obejmując ją ramieniem, podprowadził do kanapy. - Naprawdę sędzę, że to wszystko zaczyna nabierać kształtu. Żeby jednak ostatecznie zakończyć reportaż, muszę jeszcze zebrać materiały w dwóch miastach. Gdy wrócisz do Nowego Jorku, ja polecę do Paryża, aby tam popracować przez kilka dni z moją ekipą i producentem. A potem wszyscy razem wybierzemy się do Irlandii Północnej - Belfast będzie naszym ostatnim etapem. Wymyśliłem wreszcie tytuł swojego programu.

- Możesz mi go zdradzić?

- „Terroryzm - oblicze zła”. Co o nim sądzisz?

- Moim zdaniem brzmi bardzo dobrze. I dokładnie oddaje twój zamysł.

-Rzeczywiście - przytaknął. - Chcę ukazać problem światowego terroryzmu. Przeprowadzam wywiady z ekspertami, a także z samymi terrorystami osadzonymi w izraelskim więzieniu. Nowy materiał przeplatam starymi dokumentami obrazującymi akty terroru - począwszy od zamordowania sportowców na Olimpiadzie w 1972 roku oraz zabójstwa lorda Mountbattena dokonanego przez IRA, po katastrofę samolotu pod Lockerbie, zbombardowanie World Trade Center i wybuch w mieście Oklahoma. Staram się wszystko przedstawić w sposób bardzo osobisty i subiektywny. Pragnę dotrzeć do amerykańskich odbiorców i poruszyć serca moich rodaków. W programie zamierzam wykorzystać zarówno rozmowy z ludźmi, którzy wyszli cało z akcji terrorystycznych, jak i z rodzinami ofiar. Jestem całkiem zadowolony z dotychczasowych wyników. - Bill podniósł się z miejsca i wyjął z barku butelkę wody mineralnej. - Masz na coś ochotę? - spytał. Zaprzeczyła ruchem głowy.

Usiadł znów przy niej na kanapie, upił łyk wody, postawił butelkę na stojącym obok stoliku i przygarnął Vanesę do siebie.

-Przeprowadzka na poddasze była bardzo dobrym pomysłem - stwierdził. - Udowodniłaś w ten sposób Peterowi, że poważnie myślisz o rozwodzie.

- To prawda. Zadzwoił do mnie wczoraj tuż przed moim wyjazdem na lotnisko Kennedy'ego. W dalszym ciągu nie chce przystać na rozwód. Ale choć jest wyraźnie przybity, ostatnio już znacznie rozsądniej ze mną rozmawia. Mam wrażenie, że zaczyna oswajać się z myślą o rozstaniu.

- Co za ulga. - Bill przyjrzał się jej uważnie. - Czy powiedziałaś mu o mnie? O nas?

- Nie, Bill. Nie sądzę, żeby to było konieczne. Podziałałoby na niego jak czerwona płachta na byka. Mogłoby mieć skutek zapalny.

- Wiesz, że nie obchodzi mnie, co on o tym pomyśli. Jestem dorosły i potrafię się o siebie zatroszczyć.

- Ale po co rozjątrzać ranę? Poza tym w końcu do Petera

dotarło, jak źle układało się między nami przez ostatnie lata... Wolę zostawić sprawę własnemu biegowi.

- Jak sobie życzysz, kochanie. To ty jesteś szefem. Nagrodziła go uśmiechem pełnym ciepła. Pochylił się nad nią i pocałował w usta.

-Właśnie dowiedziałem się w recepcji, że o siódmej Wenecja znajdzie się pod wodą. Obawiam się, że trzeba zapomnieć dzisiaj o barze „U Harry'ego”. Musimy coś zjeść na miejscu.

- Nic nie szkodzi, Bill. Restauracja na dole jest całkiem dobra.

- Och, myślałem, że poprosimy raczej, by przyniesiono nam posiłek do apartamentu.

- Jeśli tak wolisz. Sądzę, że rzeczywiście będzie nam tu wygodniej, a poza tym nie muszę się ubierać.

Skinął głową i przyciągnął ją do siebie.

- Właśnie to miałem na myśli.

- Zaproponowałaś kiedyś Wenecję na miejsce naszych randek - powiedział Bill po tym, jak się kochali, zjedli kolację i znowu się kochali. - Uważam, że to świetny pomysł. To miasto jest dla mnie bardzo dogodne.

Vanessa leżała w jego ramionach. Zajrzała mu w oczy.

- Co masz na myśli?

-Kiedy już skończę program o terroryzmie, mam się udać na Bliski Wschód. Do Izraela albo do Libanu, to zależy wyłącznie ode mnie. A każde z tych państw ma dobre połączenia lotnicze z Wenecją. Ilekroć przyjedziesz ze swoimi projektami do Murano, postaram się do ciebie dołączyć - choćby tylko na kilka dni lub na weekend.

- Cudownie, Bill - twarz Vanessy się rozjaśniła. - Będę cię mogła częściej widywać! Zwykle bywam tutaj raz w miesiącu. Ale właściwie dlaczego zdecydowałeś się na Bliski Wschód?

- Jak ci wiadomo, nie chciałem wracać do Bośni, choć ostatnio znowu doszło tam do zamieszek. Ale moim zdaniem zawsze już tak będzie. Umowy pokojowe są bardzo niepewne i mało prawdopodobne, aby długo obowiązywały,

szczególnie po wycofaniu oddziałów ONZ. Od dawna pragnąłem stamtąd wyjechać i Jack Clayton dobrze o tym wiedział. Dlatego zaproponował mi, żebym wrócił na Bliski Wschód i zajął się wydarzeniami w tamtej części globu. Dobrze znam ten obszar, a poza tym Frank przebywa w Libanie. Przypomną mi się stare czasy. - Uśmiechnął się do Vanessy. - Właśnie postanowiłem, że zatrzymam się w Bejrucie i wraz z Frankiem zamieszkam w hotelu Commodore.

- Kiedy to nastąpi, kochanie?

- W marcu. W połowie lutego wracam do Nowego Jorku, aby zmontować i przygotować do emisji program dla CNS. A potem wyjeżdżam.

- Sądziłam, że na Bliskim Wschodzie zamieszki już ucichły.

- Na tyle, na ile to jest możliwe. Tam zawsze będą się zdarzać różnego rodzaju wstrząsy. Iran, Libia, Arabia Saudyjska, Syria, Izrael czy Irak to stałe miejsca konfliktów - wyjaśnił.

- Jak myślisz, kiedy się tutaj znowu spotkamy? Mocno przytulił ją do siebie i uśmiechnął się, a w kącikach jego błękitnych oczu pojawiły się zmarszczki.

- To oczywiste. Pod koniec marca.

WENECJA, marzec 1996

Czy jest pani pewna, że nie ma dla mnie żadnej wiadomości? - spytała Vanessa, wpatrując się z napięciem w urzędniczkę recepcji hotelu Gritti Palace.

- Nic nie ma, signora Stewart - zapewniła kobieta i dodała z niemal przeproszającym uśmiechem: - Ani telefonicznej, ani telegraficznej, ani nadanej faksem. Absolutnie żadnej, signora.

- Dziękuję pani. - Vanessa obróciła się na pięcie i prędkim krokiem ruszyła w stronę windy.

Gdy wróciła do swojego pokoju, usiadła przy stoliku pod oknem i w zamyśleniu zapatrzyła się na Canale Grande.

Ostatnia sobota marca była wietrzna i chłodna, lecz po południu zza chmur wyjrzało słońce i niebo się trochę rozjaśniło. Vanessa nie zwracała jednak uwagi na pogodę. Myślała wyłącznie o Billu. Otworzyła swój podręczny kalendarzyk i spojrzała na datę: trzydziesty marca. Już od czterech dni przebywała w Wenecji i pracowała w murańskiej hucie. Bill obiecał, że przyleci w czwartek po południu dwudziestego ósmego marca, i spędzi z nią długi weekend.

Minęły jednak dwie doby od zapowiedzianego terminu i Vanessa nie знаła powodu zwłoki. Dobrze chociaż, że nie przebywał w strefie działań wojennych i nie wystawiał się na bezpośrednie niebezpieczeństwo. Obecnie w Bejrucie panował spokój - Bill sam ją o tym zapewnił. Odsunęła od siebie myśl, że mogło mu się przytrafić coś złego.

Nagle uświadomiła sobie, że może robić reportaż w jakimś innym państwie Bliskiego Wschodu. W lutym, podczas pobytu w Nowym Jorku, opowiadał jej o Sudanie i o Egipcie. Zdołali się wtedy tylko raz ze sobą spotkać. Był bardzo zajęty przygotowaniem emisji programu o terroryzmie, a wkrótce potem udał się do Bejrutu.

Tak, to prawdopodobne, że zatrzymała go jakaś niespodziewana robota. Być może był już w drodze do Wenecji. Vanessa rozpogodziła się na moment, lecz zaraz znowu opadły ją wątpliwości. Skoro nie zdołał załatwić swoich spraw zawodowych w planowanym terminie, to dlaczego do niej nie zadzwonił?

Zmarszczyła brwi, sięgnęła po swój notatnik i prędko odszukała telefon Commodore'a w Bejrucie.

Sprawiła w hotelowym wykazie bezpośrednie połączenia z miastami na całym świecie, podniosła słuchawkę i wybrała numer.

Po upływie kilku sekund dobiegł ją głos telefonistki:

- Hotel Commodore, słucham?
- Czy mogłabym rozmawiać z panem Billem Fitzgerald-em?
- Proszę chwilę poczekać.

Natarczywy sygnał zdawał się rozbrzmiewać bez końca. Bill nie podnosił słuchawki. Nie było go w pokoju.

- Nikt nie odpowiada - stwierdziła telefonistka. - Czy chce pani zostawić jakąś wiadomość?

- Tak. Proszę zawiadomić pana Fitzgeralda, że telefonowała Vanessa Stewart. Czekam w hotelu Gritti Palace w Wenecji. - Podała telefonistce numer i rozłączyła się. Przez długą chwilę siedziała ze wzrokiem utkwionym w aparacie.

Wreszcie wstała i podeszła do stolika przy kanapie. Sięgnęła po pilota i włączyła telewizor. Na kanale CNS spiker podawał prognozę pogody dla Stanów na nadchodzący weekend. Usiadła na łóżku i przez kilka godzin śledziła program nadawany przez tę stację. Obejrzała wiadomości ze świata, wiadomości z Ameryki, informacje handlowe i wiadomości sportowe. Brak było tylko jakichkolwiek wieści o Billu Fitzgeraldzie, głównym zagranicznym korespondencie CNS.

Późnym wieczorem, chyba już po raz setny w tym dniu, połączyła się z automatyczną sekretarką w swoim mieszkaniu na Manhattanie, a także w domku w Southampton. Wiadomości od Billa nie było.

W końcu zamówiła do pokoju kanapki, owoce i gorącą herbatę. Od śniadania niczego nie miała w ustach i nagle poczuła głód. Po lekkim posiłku znowu zasiadła przed telewizorem i kątem oka śledziła powtórki emitowanych wcześniej programów, gdyż jej umysł i tak zaprzętały inne myśli.

* * *

Nazajutrz, w niedzielę rano, pospiesznie wypiła filiżankę kawy i ponownie wykręciła numer hotelu Commodore w Bejrucie, prosząc o połączenie z Billem Fitzgeraldem.

Znowu nikt nie odebrał telefonu w jego pokoju.

Tym razem chciała rozmawiać z Frankiem Petersonem. Wsluchując się w sygnał, mocno ścisnęła w dłoniach słuchawkę. Miała nadzieję, że w końcu dziennikarz się odezwie. Ale nikt nie odpowiedział.

Telefonistka była po chwili na linii:

- Przykro mi. Wygląda na to, że żadnego z tych panów nie ma w hotelu. Czy chciałaby pani zostawić jakąś wiadomość?

- Tak. Proszę przekazać panu Fitzgeraldowi, że Vanessa Stewart czeka na niego w hotelu Gritti Palace w Wenecji.

Niedziela upłynęła jej w niezbyt miłym nastroju. Czekając na telefon, oglądała na przemian jedną z dwóch amerykańskich stacji telewizyjnych: CNS lub CNN. Co jakiś czas sprawdzała nagrania na swoich automatycznych sekretarkach w Stanach, ale na próżno: od nikogo nie było ani słowa. Zatelefonowała nawet do biura międzynarodowych wiadomości CNS w Nowym Jorku, ale i tam nie uzyskała informacji o miejscu przebywania Billa.

Późnym popołudniem straciła nadzieję, że się z nim zobaczy. W poniedziałek rano musiała wracać do Nowego Jorku. Wyjęła walizkę i zaczęła się pakować. Targały nią różne uczucia: frustracja, złość, rozczarowanie i obawa.

* * *

Tej nocy nie mogła zasnąć. Godzinami niespokojnie przewracała się na łóżku, modląc się o to, aby szybciej nadszedł ranek.

W końcu na moment przysnęła. Gdy przebudziła się gwałtownie, zaczęło już świtać. Leżała w szarym świetle poranka i wreszcie dotarła do niej myśl, jakiej nie chciała dopuścić przez cały weekend: Bill przestał się nią interesować, i to był prawdziwy powód jego nieobecności. Dla niego ich romans już się skończył; sprawa została raz na zawsze zamknięta.

Niemożliwe, odganiała tę myśl, za bardzo mu na niej zależało. Chyba się myli.

W głębi duszy wiedziała jednak, że ma rację.

Zamknęła oczy, przypominając sobie wszystkie jego zapewnienia... o tym, że ją kocha... że będzie na nią czekał... i że ma wobec niej poważne zamiary. Zachęcał ją nawet, by rozwiodła się z Peterem. Po co miałby to wszystko mówić, gdyby naprawdę tak nie myślał?

No cóż, kiedy wypowiadał te słowa, święcie w nie wierzył, podszeptął Vanessie natarczywy, wewnętrzny głos. Bill był mistrzem krasomówstwa - potrafił się gładko wysławiać. Doskonale operował frazesami, które bez trudu cisnęły mu się na usta. Czyż nie na tym po części polegał jego talent? Nawet jego babcia zwykła powtarzać, że „musiał całować kamień Blarney”.

Była jeszcze druga sprawa. Znowu przebywał w towarzystwie Franka Petersona, swojego najlepszego przyjaciela. Sam go określił jako kobieciarza, przy którym nawet Don Juan wpadłby w kompleksy. Być może wybrali się dokądś razem na weekend? Bill był bardzo przywiązany do Franka, a przyjaciel miał na niego duży wpływ. Kto wie, może niektóre z przyzwyczajzeń Anglika okazały się zaraźliwe?

Nagle Vanessa poczuła się jak naiwna pensjonarka. Przez cztery dni siedziała tutaj, czekając na Billa, a on nie odezwał się ani słowem. Jako główny zagraniczny korespondent CNS musiał mieć przecież wszędzie dostęp do telefonu, bez względu na to, gdzie przebywał.

99

A jednak nie zadzwonił, i Vanessa nie mogła lekceważyć tego faktu.

Skonsternowana poczuła ucisk w żołądku. Stwierdziła, że drży na całym ciele. Do oczu napłynęły jej łzy.

Otarła je, usiadła w pościeli, zapaliła światło i spojrzała na swój podróżny budzik. Była piąta rano.

Przycupnęła na krawędzi łóżka i próbowała się wziąć w garść. Musi pogodzić się z bolesną myślą, że została porzucona, oraz z faktem, że nigdy się nie dowie, dlaczego tak się stało. Gdy znowu zaczęła płakać, nie mogła już przestać.

Rozdział 13

SOUTHAMPTON, LONG ISLAND, kwiecień 1996

„ Z biegiem lat odkryłam, że im bardziej kogoś pokochamy, tym większe prawdopodobieństwo, że spotka nas rozczarowanie - zauważyła kiedyś jej matka i zaraz dodała: -Moim zdaniem, mężczyźni rozumieją to lepiej od nas. I dlatego zwykle są powściągliwsi w uczuciach. Zawsze o tym pamiętaj, Vanny. Nigdy się bez reszty nie angażuj, to nie zostaniesz porzucona”.

Ona jednak zadurzyła się po uszy i została odtrącona. Poniewczasie przypomniła sobie roztropną uwagę matki.

Czyżby mężczyźni naprawdę zachowywali rezerwę wobec kobiet? Czy Bill również miał się na bacności? Vanessa bezgranicznie mu zaufała i obdarzyła głębokim uczuciem. I na koniec spotkało ją ogromne rozczarowanie, a właściwie nawet coś znacznie gorszego: Bill ją poniżył. Sprawił, że poczuła się jak głupia gęś. Wystawił ją na pośmiewisko i boleśnie zranił. Miała wrażenie, że już nigdy się nie otrząśnie po tym ciosie, zadany w samo serce.

Była wobec Billa szczerą i uczciwą. Odśloniła przed nim duszę, jej najskrytsze tajniki. Dała mu wszystko, co miała do zaoferowania - znacznie więcej niż jakimkolwiek innemu mężczyźnie, nawet własnemu mężowi. Tymczasem okazało się, że jej miłość i oddanie nic dla niego nie znaczyły. Porzucił ją równie łatwo, jak poderwał w barze hotelu Gritti Palace.

Niespodziewanie przypomniała sobie jego uwagę o Franku i o uczuciowym dystansie, jaki zachowywał w związkach z kobietami. Być może wszyscy mężczyźni byli podobni.

Głęboko westchnęła. Z ciężkim sercem spacerowała pośród piaszczystych wydym. Pod wpływem bólu spowodowanego zdradą Billa wciąż się czuła jak otumaniona.

Był pogodny, choć chłodny kwietniowy dzień. Na jasno-błękitnym niebie świeciło blade słońce. Pomimo wiatru Ocean Atlantycki od dawna nie był tak spokojny.

Vanessę dobiegło wołanie mew. Uniosła głowę i przez chwilę przyglądała się szybującym na tle chmur ptakom.

Podmuchy oceanicznej bryzy spychały ją w stronę plaży. Mocniej owinęła się wełnianym płaszczem i wcisnęła ręce do kieszeni. Jej skrajne przygnębienie graniczyło niemal z depresją.

Wprost nie mogła uwierzyć, że Bill postanowił bez słowa zniknąć z jej życia. Trudno było jednak przeczyć faktom. Czasami usiłowała sobie wmówić, że to ją nic nie obchodzi, ale nie potrafiła oszukać samej siebie.

Sądziła, że ich uczuciowy związek jest czymś więcej niż tylko miłosną przygodą. A tymczasem on najpierw rozkochał ją w sobie, a potem, kiedy już się nią znudził, wykreślił ze swojego życia. Ot tak, po prostu: dmuchnął, i już jej nie było. Czyżby ich romans był za żarliwy i zbyt prędko się wypalił? Nie potrafiła na to odpowiedzieć. Ale czy po tym, co ją spotkało, mogła być jeszcze czegoś w życiu pewna?

Poczuła na twarzy krople deszczu. Spojrzała w górę. Niebo pociemniało od burzowych chmur i przybrało ołowianą barwę. Nagle rozdarła je oślepiająca błyskawica, zaraz potem rozległ się huk pioruna.

Vanessa zawróciła i ruszyła pospiesznie w stronę swojej chaty na skraju wydym. W ostatniej chwili zdążyła dotrzeć na miejsce - tuż przed oberwaniem chmury, gdy z otwartego nieboskłonu runęły strugi wody.

Zamknęła za sobą drzwi, zdjęła płaszcz i weszła do pokoju bibliotecznego. Zaświeciła lampę, zapaliła zapalną i podłożyła ogień pod papiery oraz drewniane szczapy, które Mavis ułożyła na palenisku.

Mavis Glover przychodziła codziennie od przyjazdu Vanessy. Troszczyła się o nią i przynosiła owoce, warzywa oraz inne produkty spożywcze. Kiedyś zaproponowała, że może też kupować gazety, ale Vanessa nie była zainteresowana wydarzeniami na świecie. Wręcz przeciwnie - pragnęła się od nich jak najskuteczniej odciąć.

Po powrocie z Wenecji przeniosła się na stałe do Southampton, gdzie wiodła niemal pustelniczy żywot. Wyłączyła telefon i powyciągała z gniazdek wtyczki od radia i telewizora. Poprzysięgła sobie, że już nigdy nie spojrzy na ekran.

Nie utrzymywała z nikim kontaktu. Usunęła się na bok. Jediną osobą, którą widywała i z którą rozmawiała, była Mavis.

Wylizując się z ran niczym chore zwierzę, pomyślała, wtulając się w poduszki stojącej przed kominkiem kanapy.

Nie chciała z nikim się spotykać, nawet z matką. Tak wyglądała prawda. Czula, że świat jest dla niej stracony. Peter przysłał jej dokumenty rozwodowe - nadeszły wczoraj specjalną przesyłką. Roześmiała się na ich widok z goryczą. Nie miały już dla niej żadnego znaczenia. Nalegała na rozwód, kiedy Bill stanowił część jej życia, ale nie teraz, kiedy najwyraźniej postanowił się jej pozbyć.

Znowu zapłonęła gniewem, któremu wkrótce zaczęły towarzyszyć piekące i nie kończące się łzy. Wcisnęła twarz w poduszkę i płakała dopóty, dopóki miała czym.

* * *

Wyprostowała się gwałtownie. Ogień prawie całkiem wygasł. Spojrzała na zegar stojący na kominku. Już piąta. Czas, aby zabrać się do pracy.

Podniosła się z kanapy, wyjrzała przez okno i zobaczyła, że deszcz ustał. Niebo obmyte z czarnych chmur znów było czyste. Włożyła wełniany płaszcz i poszła w stronę czerwonej stodoły, przemierzając trawnik powolnym krokiem. Przystanęła na chwilę pod drzewami z lewej strony domu. Matka posadziła tu kiedyś setki żonkili, a ona, gdy stała się właścicielką posesji, jeszcze bardziej powiększyła kwietnik. Złote główki trzepotały teraz na wietrze - jaśnożółte

latarnie morskie w delikatnym świetle. Wyglądały świeżo i wiosennie, tworząc pod drzewami przepiękny dywan. Oczy Vanessy napelnily się łzami. Otarła palcami wilgotne policzki i ruszyła przed siebie. Gdy tylko znalazła się w pracowni, podeszła do deski kreślarskiej, zapaliła nad nią światło i natychmiast zaczęła prędko szkicować, rysując kule i półkule. Realizowała kolejne pomysły, jakie podsuwała jej wyobraźnia, dopóki projekt nie nabrał właściwego kształtu. Zadowolona ją owalna, nerkowata bryła. Praca stała się teraz dla niej jedynym ratunkiem. Gdy stwierdziła, że nie może sypiać w nocy, zmieniła swój porządek dnia. Od piątej po południu do jedenastej wieczorem szkicowała projekty, o północy jadła kolację i czytała do wczesnych godzin rannych, aż w końcu morzyło ją zmęczenie. A kiedy rysunki były gotowe, stawiała przy piecu hutniczym, wydmuchując i ręcznie formując przedmioty ze szkła. Zadawała sobie w duchu pytanie, czy kiedykolwiek zdoła wrócić do Wenecji. Wiedziała, że kiedyś, z powodu swojej pracy, będzie musiała się zmierzyć z tym problemem. Jednego tylko była pewna: nigdy więcej nie przekroczy progu hotelu Gritti Pałace.

Rozdział 14

BEJRUT, kwiecień 1996

- Przecież byłeś na miejscu, Joe! Co się tam naprawdę wydarzyło? - powiedział Frank Peterson podniesionym głosem. Miał bladą twarz. Widać było po nim, że jest przybity i skrajnie zdenerwowany. Pochylając się nad stolikiem, utkwił wzrok w Joem Alonzo. - Co się, do diabła, stało z Billem? - ponowił pytanie.

Operator dźwięku pokręcił głową. Sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

- Mówiłem już, Frank, że wszystko rozegrało się w mgnieniu oka. Byliśmy w zachodnim Bejrucie, niedaleko stąd, blisko meczetu. Wszyscy trzej wysiedliśmy z samochodu: Bill, Mike i ja. Bill ruszył w kierunku meczetu, a my obaj z Mike'em podeszliśmy do bagażnika, żeby wyjąć sprzęt. Nagle duży mercedes zatrzymał się tuż przy nas z piskiem opon. Wskoczyło z niego trzech mężczyzn. Pochwycili Billa i wepchnęli do samochodu, który natychmiast odjechał.

- Dlaczego nie rzuciliście się za nim w pogoń? O Jezu, Joe! - wydusił z siebie ściśniętym głosem Frank, nie spuszczać wzroku z filmowca.

- Wiem, co sobie myślisz, Frank. Rzecz w tym, że obaj z Mike'em zupełnie oniemieliśmy. Nie wierzyliśmy własnym oczom.

- I dlatego straciliście głowę?

- Zareagowaliśmy, ale nie dość szybko! Po kilku sekundach wskoczyliśmy do samochodu i puściliśmy się w pościg

za mercedesem. Bezskutecznie. Przeklęty pojazd zniknął gdzieś bez śladu. Dosłownie rozpląnął się w powietrzu.

- Tutejsi terroryści znają boczne zaułki i tylne przejścia - zauważył Frank, spoglądając na Joego z namysłem.
-Gdybyście nie wyjmowali z Mike'em sprzętu z bagażnika, pewnie też zostalibyście porwani - stwierdził nieco spokojniejszym tonem.

- Jak dwa a dwa jest cztery - oświadczył Mike Williams, który właśnie wszedł do baru w hotelu Marriott, usytuowanym w bejruckiej dzielnicy Hamra, i zatrzymał się przy stoliku Franka i Joego.

Na widok kamerzysty Frank zerwał się na równe nogi i mocno potrząsnął jego dłonią.

-Przyłącz się do nas, Mike. Właśnie rozmawialiśmy o porwaniu Billa.

-Paskudna sprawa... zamartwiamy się o niego, a najgorsze jest to, że czujemy się zupełnie bezsilni... - Usiadł ciężko. Był wyraźnie zmęczony i zatroskany. - Kiedy wróciłeś do Bejrutu, Frank?

- Ubiegłej nocy. Przyleciałem z Egiptu. Robiłem tam reportaż, gdy wybuchły nowe zamieszki pomiędzy Izraelczykami a islamskimi fundamentalistami. Wojna się skończyła, wszystko zaczęło się jakoś uładzać, a oni znowu wszczynają kłótnie. Ale czy kiedykolwiek zapanuje tam spokój?

- Bardzo wątpię - odparł Mike. - Chociaż to pierwszy przypadek od czternastu lat, by Izraelczycy zaatakowali bezpośrednio Bejrut. Użyli do tego pocisków sterowanych laserem, wystrzelonych z pokładów czterech helikopterów znad wybrzeża. Kiedy się o tym dowiedziałem, wprost zaniemówiłem ze zdumienia.

-Akcja Żydów była odpowiedzią na bombardowanie Izraela przez islamistów - podkreślił pośpiesznie Joe. Frank przytaknął.

- A po izraelskim ataku na Bejrut Hezbollah zastosował wczoraj środki odwetowe, wystrzeliwując kolejne czterdzieści rakiet na Izrael. Wojna na wyczerpanie trwa nadal.

- I nie należy oczekiwać wielkich zmian - mruknął Mike. Przywołał kelnera i zamówił whisky z lodem.

- O uprowadzeniu Billa dowiedziałem się z wiadomości nadawanych przez CNS. Nie mogłem w to uwierzyć - wyznał Frank. - Mój Boże, dopiero co się z nim rozstałem. Wyleciałem z Bejrutu dwudziestego siódmego marca, w przeddzień jego porwania. Przez cały czas sądziłem, że dobrze się bawi w Wenecji.
- Nie zdążył wyjechać - wyjaśnił Mike. - CNS nie podawała przez kilka dni komunikatu o uprowadzeniu, w nadziei że zostanie prędko uwolniony. Kiedy to jednak nie nastąpiło, sprawa natychmiast została nagłośniona.
- Kto za tym stoi? Wiecie coś o tym? - sondował Frank.
- Niestety nic - odpowiedział Joe.
- Dopiero co rozmawiałem z Jackiem Claytonem - wyjaśnił Mike. - CNS nie otrzymała dotychczas żadnych informacji. Nikt nie przyznaje się do porwania. To trochę zagadkowa historia. Według doniesień z Nowego Jorku wszystkie grupy terrorystyczne zachowują całkowite milczenie.
- To na pewno ekstremiści islamscy - powiedział Frank z przekonaniem. Przeniósł wzrok na Joego i uniósł w górę brwi. - Któż by inny, jeśli nie oni?
- Masz rację - przyznał Joe. - Obaj z Mike'em też tak uważamy. Jesteśmy przekonani, że stoi za tym islamski Dżi-had. Nikt nie wie tego lepiej od ciebie, Frank, że w tej terrorystycznej organizacji, powiązanej z Hezbollahem nie brakuje szaleńców. To oni uprowadzili Terry'ego Andersona oraz Williama Buckleya i słyną z tego, że nie uwalniają prędko swoich jeńców.
- Terry Anderson był przetrzymywany siedem lat - mruknął Frank.
- Nie przypominaj mi o tym - nasrożył się Mike, a po chwili dodał: - Jesteśmy w kontakcie z matką Billa.
- Telefonowałem do niej z Egiptu - oznajmił korespondent. - Natychmiast kiedy się tylko o tym dowiedziałem. Muszę przyznać, że znosi to nadzwyczajnie.
- Staramy się codziennie z nią rozmawiać - zapewnił Joe. - Niestety, nie mamy jej wiele do przekazania.
- Jestem przekonany, że utrzymując z nią kontakt, bardzo jej pomagacie. - Frank sięgnął po szklankę i wychylił resztkę whisky. Oparł się plecami o krzesło i pomyślał

o Vanessie. Od wielu dni usiłował ją złapać, ale nikt nie odbierał telefonu ani w jej nowojorskim mieszkaniu, ani w domku letniskowym w Southampton. - Czy CNS poczyniła jakieś starania, aby odnaleźć Billa? - spytał. - Niewiele można na razie w tej sprawie zrobić - odparł Mike. - Zdjęcia Billa rozesłano po Bejrucie, a nawet po całym Libanie. Od samego początku wywierany jest olbrzymi nacisk na rząd libański i syryjski. A chociaż wiadomość o uprowadzeniu przez jakiś czas utrzymywano w tajemnicy, to natychmiast w dniu porwania Billa z funduszy CNS wyasygnowano pokaźną kwotę na jego uwolnienie.

- Również naciska się Biały Dom - dodał Joe. - Spójrzmy jednak prawdzie w oczy, Frank. Nic nie można zrobić, dopóki jakaś organizacja nie przyzna się do uprowadzenia. Dopiero wtedy rząd USA i telewizyjne stacje będą mogły żądać wydania zakładnika.

- Zawsze sobie z niego żartowałem. Twierdziłem, że kule go się nie imają - zaczął Frank i umilkł, gdyż przy ich stoliku przystanął Allan Brent, korespondent CNN na Bliskim Wschodzie. . .

- Wysłuchałem ostatnich wiadomości - powiedział. - Bill Fitzgerald znajduje się w rękach ludzi Hezbollahu.

- O, Jezu! - wykrzyknął Frank.

- Jak dawno temu przekazano tę informację? - zapytał Allan Brent spojrzawszy na zegarek.

- Teraz jest siódma, a więc jakieś pół godziny temu.

Mark Lawrence, który komentował sprawę porwania Billa dla CNS, pojawił się w drzwiach baru. Gdy spostrzegł jej ekipę w towarzystwie Franka i Allana Brenta, pospieszył w ich stronę.

- Słyszałeś już pewnie, że Bill jest przetrzymywany przez islamski Dżihad? - zwrócił się do Mike'a.

- Tak, Allan nam właśnie o tym powiedział.

- Chciałbym wierzyć, że nic złego mu nie zrobili - powiedział Frank. - Modlę się o to. Członkowie tej grupy to fanatycy, są psychicznie nie zrównoważeni i zupełnie nieprzewidywalni w swoich poczynaniach.

W tym ciasnym i dusznym pomieszczeniu zawsze było ciemno. Tylko przez szpary pomiędzy starymi deskami w oknach sączyła się do środka wąska smuga srebrnego światła.

Bill Fitzgerald poruszył się niezdarnie na wąskiej pryczy. Kajdanki na rękach i łańcuchy na nogach krępowały mu ruchy. Zdołał się jednak w końcu przekręcić na plecy. Leżał zapatrzony w sufit i usiłował ustalić, który to już dzień.

Starał się kontrolować upływ czasu. Przypuszczał, że jest przetrzymywany od jakichś dwóch tygodni. Wciąż zmieniający się strażnicy nie chcieli mu udzielać żadnych wyjaśnień. Ich odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: „Zamknij się, ty amerykańska świno!”

Czuł się nieświeżo i marzył, aby mu pozwolili jeszcze raz wziąć prysznic. Od czasu pojmania tylko dwukrotnie wolno mu było się umyć. Jego ubranie było brudne i cuchnące. Błagał więc o coś czystego i jeden z wartowników spełnił wreszcie wczoraj jego prośbę. Gdy ciśnięto do celi bawełniane spodenki, podkoszulek i slipy, na moment został rozkuty, żeby mógł się przebrać. Odzież była bardzo tandetna, ale włożenie jej sprawiło mu prawdziwą ulgę.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Nie wiedział, czy przebywa wciąż w Bejrucie, czy też w dolinie Bekaa - w samym gnieździe Hezbollahu, gdzie rządziły finansowane przez Iran oddziały. Przetrzymywano tam wielu zakładników.

Nie wiedział nawet, z jakiego powodu został uprowadzony. Prawdopodobnie obciążało go amerykańskie pochodzenie i zawód dziennikarza. Wątpliwości nie nastroczała tylko tożsamość porywaczy. Byli nimi młodzi mężczyźni z islamskiego Dżihadu, terrorystycznej i bardzo niebezpiecznej organizacji, powiązanej z Hezbollahem. Niektórzy z nich mieli lekkiego kręcka i byli zdolni do wszystkiego.

Skuli go, obrzucali przekleństwami, codziennie go bili i wydzielali bardzo małe racje wody i żywności. Jedzenie, które mu dostarczali, było nieświeże i niemal niejadalne. Ale pomimo ich ciągłych okrucieństw nie zamierzał dopuścić do tego, by stali się świadkami jego załamania.

Za wszelką cenę starał się zająć czymś umysł. Myślał najczęściej o swoim dziecku, o matce i o Vanessie - kobiecie którą kochał. Martwił się o nie. Niepokoił się, jak przyjmą wiadomość o jego porwaniu i jak na nią zareagują. Jednak wierzył w nie, wiedział, że będą dzielne i nawet ieeo córka okaże hart ducha. .

Kiedy tak leżał, zapatrzony w brudny sufit, przypominał sobie twarz Vanessy. Wyobraźnia podsunęła mu jej obraz, kobiety wyjątkowej i bardzo mu drogiej. To prawdziwe szczęście że ją spotkał. Przewidywał, że ich wspólne życie będzie cudowne. Pierwsze, co zamierzał zrobić po swym uwolnieniu, to mieć z nią dziecko. Tak bardzo tego pragnęła: powiedziała mu to, kiedy po raz ostatni byli razem. Martwił się o nią podczas pierwszych dni niewoli, wiedząc, że przebywa sama w Wenecji, czeka na niego i nie ma pojęcia, dlaczego się nie pojawia.

Usłyszał odgłos przekręcanej w zamku klucza, huknął wzrok na drzwiach i uzbroił się w męstwo, oczekując rutynowego już bicia. W mrocznym świetle spostrzegł, że do celi wszedł jeden z porywaczy.

- Wkładaj maskę - polecił młody mężczyzna, zмирzając w jego kierunku i podtykając mu brudną szmatę.
- Po co? - spytał Bill, próbując usiąść.
- Milcz, imperialistyczna świnio! Ty amerykański szpiegu' - wrzasnął młody człowiek i brutalnie zawiązał Billowi opaskę na oczach, poderwał go do góry, stawiając na nogi, a potem poprowadził w stronę wyjścia.
- Dokąd mnie zabieracie? - dopytywał się Bill.
- Milczeć! - ryknął terrorysta, wypychając Billa z celi.

SOUTHAMPTON, LONG ISLAND, kwiecień 1996

Vanessa wzdrygnęła się gwałtownie. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, i mrugając powiekami, w roztargnieniu rozejrzała się po bibliotece. Z oddali dobiegały ledwie słyszalne głuchoe odgłosy.

Podniosła się z miejsca, pospiesznie przemierzyła pokój i poszła w stronę holu. Pukanie było teraz znacznie wyraźniejsze. Uświadomiła sobie, że ktoś się dobija do głównego wejścia.

- Już idę! - zawołała i pokonując korytarz, otworzyła na oścież drzwi. Ku swojemu zdumieniu i zmieszaniu zobaczyła przed sobą matkę Billa.

- Dru! - wykrzyknęła, oniemiała ze zdziwienia. - Witaj! Czy długo czekasz?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko utkwiała w niej puste spojrzenie. Vanessa zasypywała ją dalszymi pytaniami:

- Co cię tutaj sprowadza? Chciałaś się ze mną widzieć? - Nagle zmarszczyła brwi, spostrzegając przygnębioną minę Dru Fitzgerald i jej przekrwione oczy. Zauważyła również, że matka Billa niepokojąco zeszcupiała. -

Co się stało? - spytała ponaglającym tonem.

Dru oparła się o framugę drzwi, z trudem chwytając powietrze, jak gdyby oddychanie sprawiało jej niespodziewaną trudność.

- Czy mogę wejść do środka, Vanesso? - zdołała jedynie wydusić z siebie.

- Oczywiście, zapraszam. Czy mogę cię czymś poczęstować?

-Poproszę tylko o szklankę wody. Muszę zazyc lekarstwo.

Vanessa wzięła Drucillę pod rękę, zaprowadziła ją do salonu i posadziła na krześle, a potem poszła do kuchni po wodę.

Szybko wróciła, podała gościowi szklankę, zaczekała, aż połknie pigułkę, i stwierdziła:

- Widzę, że jesteś zdenerwowana. Co się stało.

Drucilla Fitzgerald przyjrzała się jej uważnie. Wstrząśnięta uświadomiła sobie, że Vanessa nic nie wie o Billu. Fakt ten, choć zdumiewający, był niewątpliwie prawdziwy. Dru zastanawiała się, jak ma jej o tym powiedzieć. Do oczu napłynęły jej łzy i zacisnęła dłonie, by wstrzymać ich drżenie. Wreszcie odchrząknęła i chwyciła Vanesse rękę.

- Od wielu dni próbowałam się do ciebie dodzwonić - wyszeptła, z trudem wymawiając słowa. Nie zdołała jednak dłużej zapanować nad sobą i wybuchnęła płaczem. Sięgnęła do kieszeni swojego wełnianego zakietu w poszukiwaniu chusteczki.

-Wyłączyłam telefon - zaczęła Vanessa i w tej samej chwili ogarnęło ją straszliwe przeczucie - Chodzi o Billa. Spotkało go coś złego, nie myślę się, prawda?

Dru wciąż płakała, nie mogąc stłumić szlochu. Vanessa usiadła obok niej na kanapie i objęła ją ramionami

-Nie mam pojęcia, co się stało, Dru. Wyłączyłam nie tylko telefon, ale również telewizor. Od dwóch tygodni jestem odcięta od świata.

Matka Billa obróciła się w jej stronę. Łzy spływały strumieniami po jej bladej twarzy i drżały jej usta.

- On nie żyje - wyjawiała ledwie słyszalnym głosem. -Mój syn nie żyje. Zabrali mi moje jedyne dziecko w najbardziej okrutny sposób. Och, Vanesso... Vanesso... Dlaczego oni go zabili? Zastrzelili go. I nigdy już nie wróci. Odszedł na dobre. Co my teraz bez niego pocniemy? - Zanosila się szlochem, z trudem chwytając oddech i przyciskając dłonie do piersi. Jej rozpacz zdawała się bezgraniczna.

Vanessa siedziała z szeroko otwartymi oczami. Poczula, że przeszywa ją chłód. Była ogłuszona nowiną. Pod wpływem szoku zawirowało jej w głowie i przez chwilę nie była w stanie się odezwać. Jej oczy napelniły się łzami i zaczęła drżeć.

-Nie rozumiem... - powiedziała w końcu. - Kto zabił Billa? - Coś ją dławilo, gdy wymawiała te słowa. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Mocno chwyciła Dru za rękę. Obie kobiety łkając, przytuliły się do siebie.

Po dłuższej chwili Dru wyjaśniła przez łzy:

- Hezbollah. A właściwie islamski Dżihad. To oni porwali Billa, Vanesso. Teraz rozumiem, że nic o tym nie wiedziałaś. W przeciwnym razie na pewno byłabyś razem ze mną i z Heleną w tych ciężkich chwilach.

- Kiedy? - z trudem wykrztusiła Vanessa. - Kiedy został uprowadzony? - Drżał jej głos, a do oczu napłynęły nowe łzy. Znała odpowiedź, zanim jeszcze Dru zdążyła jej udzielić.

- Dwudziestego ósmego marca. To był czwartek. Rano pojмали go w Bejrucie. Wybrał się na zdjęcia wraz ze swoją ekipą, z Joem i z Mike'em...

- O mój Boże, mój Boże! - zawodziła Vanessa, przyciskając obie dłonie do twarzy, aby zatamować łzy.

Przeciekały przez jej palce i tworzyły mokre plamy na bawełnianej bluzce. - Czekałam na niego w Wenecji, a on się nie zjawil! Sądziłam, że przestał się mną interesować i wszystko między nami skończone. A tymczasem on nie mógł do mnie przyjechać. Och, Dru, Dru...

- Kochał cię, Vanesso. I chciał się z tobą ożenić. Powiedział mi o tym. Poinformował mnie również, że jesteś mężatką i że się starasz o rozwód.

Vanessa z trudem przelknęła ślinę.

- Oboje należeliśmy do siebie. Jak mogłam o tym zapomnieć?

Drucilla westchnęła i ze smutkiem spojrzała na Vanessę.

- Kiedy człowiek jest zakochany, zawsze wszystko wyolbrzymia i reaguje znacznie gwałtowniej...

- Kochałam go całym sercem. I tam, w Wenecji, nie miałam prawa w niego zwątpić. Powinnam była się domyślić, że przytrafiło mu się coś strasznego, coś, na co nie miał wpływu.

Dru milczała przez moment, a potem powiedziała cicho:

- Czułaś się skrzywdzona.

Vanessa niespodziewanie znowu straciła kontrolę nad sobą i zaczęła gorzko płakać.

- Kiedy go zastrzelili? - spytała przez łzy.

- Nie jesteśmy pewni. - Mówienie sprawiało Dru trudność. Podniosła rękę do drżących ust i odczekała kilka chwil, usiłując zapanować nad sobą. - Andrew Bryce, prezes CNS, oraz Jack Clayton, redaktor wiadomości i bezpośredni szef Billa przyszli do mnie wczoraj. - Umilkła, zrobiła głęboki wdech, po czym ciągnęła dalej. - Chcieli, żebym to usłyszała od nich. Islamiści z Dżihadu obwieścili wykonanie egzekucji na Billu. Podrzucili jego ciało pod ambasadą francuską w Bejrucie, skąd przekazano je najpierw do amerykańskiego szpitala, a potem wysłano do domu.

- Dlaczego go zabili? - szlochala Vanessa. - Dlaczego, Dru?

- Andrew i Jack nie wiedzą. Nikt tego nie wie. Terrorysty nie udzielili żadnych wyjaśnień.

Dwie kobiety, które kochały Billa Fitzgeralda, siedziały bez ruchu na kanapie, nie odzywając się do siebie, zatopione w ponurych myślach, dzieląc w milczeniu bezmierny ból i rozpacz.

Vanessa pierwsza przerwała ciszę.

- Gdzie jest Helena?

Dru przesłoniła usta dłonią, a z jej oczu na nowo potoczyły się łzy.

- Przywiozłam ją ze sobą - oznajmiła po chwili. - Nie miałam serca zostawiać jej samej. Spaceruje po wydmach ze swoją nianią, Alice. Dziewczynka ma złamane serce. Wprost uwielbiała ojca.

Vanessa skinęła głową. Podniosła się z miejsca, przeszła przez pokój, stanęła przy oknie i spojrzała w kierunku piaszczystej plaży. Jej umysł był zaprzątnięty Billem oraz ich wzajemną miłością. Teraz pomyślała o jego dziecku. I podjęła nagłą decyzję.

- Dru, sądzę, że obie powinnyście zatrzymać się u mnie na kilka dni. Bill chciał, żebyśmy trzymały się razem - powiedziała, zwracając się do jego matki.

108

Nocą, kiedy znalazła się w swojej sypialni, znowu pograżyła się we łzach. Płakała nad utratą mężczyzny, którego kochała, nad życiem, którego nie dane im było dzielić, oraz nad ich dzieckiem, które się już nie narodzi.

To była długa noc, przepelniona bólem i udręką. Przez moment znowu dało znać o sobie poczucie winy, ale stłumiła je, zanim zdążyło nią zawładnąć. Na czynienie sobie wyrzutów z powodu chwilowego zwątpienia w Billa szkoda było czasu. Bill powiedziałby jej to samo co matka.

Gdy nad wydmami zaczęło już świtać, Vanessa zrozumiała, że jej smutek będzie trwał długo i że musi się z nim pogodzić. Bill Fitzgerald był miłością jej życia, a straciła go w mgnieniu oka z powodu jakichś szaleńców. Świat nie był dobrze urządzony. Dlaczego śmierć zabierała tak młodych mężczyzn jak Bill?

Do tej tragedii nie powinno dojść. A jednak doszło. Vanessa została sama. Czowała się bez Billa samotna, osierocona i zagubiona, tak jak jego dziecko i matka. I to one stały się teraz główną troską Vanessy.

Postanowiła, że zrobi to, czego Bill by od niej oczekiwał... postara się pocieszyć je w cierpieniu. Była im potrzebna. Tak jak dla niej była niezbędna ich obecność.

Rozdział 16

-Cieszę się, że Alice usłuchała twojej rady i wyjeżdża jednak na wakacje - powiedziała Vanessa, mieszając zupę z kurczaka i zaglądając do garnka. - Głupotą byłaby rezygnacja z urlopu. Czy zdradziła ci, dokąd jedzie? Dru się nie odezwała.

- Wiesz, dokąd się wybiera? Pani Fitzgerald wciąż nie odpowiadała. Vanessa odwróciła się gwałtownie i wykrzyknęła:

- Mój Boże, co się stało? - wypuściła z ręki drewnianą łyżkę i rzuciła się biegiem na drugi koniec kuchni. Drucilla opierała się plecami o krzesło i miała pobladłą twarz, która przy jej rudych włosach wydawała się całkiem biała. Zaciskała dłonie na oparciu siedzenia i krzywiła się z bólu.

Vanessa uklekła przy niej.

- Dru, co się dzieje? .

- Odczuwam straszliwy ból. W piersiach. I zupełnie zdrewniała mi lewa ręka. Sądzę, że to atak serca.

-Nie ruszaj się! Wyprowadzę samochód. Szpital jest niedaleko. Na Meeting Lane House. Dotrzemy tam w ciągu kilku minut. Tylko się nie ruszaj, dobrze?

Dru skinęła głową.

Vanessa wpadła do garażu, wyprowadziła samochód, zaparkowała przed samym wejściem i pobiegła przez trawnik do pracowni. Wcześniej zostawiła tam Helenę, by mogła w spokoju zająć się rysowaniem. Otworzyła drzwi i zawołała:

- Heleno! Chodź prędko! Musimy jechać!

- Dokąd?

- Do szpitala. Twoja babcia źle się poczuła.

-Już idę! - odkrzyknęła dziewczynka, zerwała się od stołu i popędziła do wyjścia. - Czy to serce?

- Babcia podejrzewa, że tak - odparła Vanessa, chwytając dziecko za rękę i biegnąc z nim w stronę domku. - Wsiadaj do samochodu, kochanie. Wrócę za moment razem z babcią. - Pomogła usadowić się Helenie na tylnym siedzeniu i przypięła ją pasem bezpieczeństwa.

Gdy ponownie znalazła się w holu, porwała torebkę z szafy i pognęła do kuchni. Dru leżała bezwładnie na krześle, przyciskając ręce do piersi.

- Gorzej się czujesz, Dru? - zaniepokoiła się Vanessa, pochylając się nad chorą.

- Nie, wciąż tak samo.

- Zdołasz dojść do samochodu?

- Tak, jeśli mi pomożesz - odparła kobieta słabym głosem. Wolnym krokiem przeszły przez kuchnię i pokonały odległość dzielącą je od pojazdu.

-Nie martw się. Wyzdrowiejesz - zapewniła Vanessa uspokajającym tonem, przypinając ją pasem i modląc się w duchu o to, aby jej przepowiednia się sprawdziła.

Przez całą drogę do szpitala wznosiła modły do Boga.

* * *

- Pani Fitzgerald przeszła atak serca, na szczęście niezbyt groźny - oznajmiła lekarka, Paula Matthews, odciągając Vanessę na bok w poczekalni. - Wróci do zdrowia, ale musi na siebie bardzo uważać.

- Rozumiem, pani doktor. Osobiście tego dopilnuję. Jak długo pozostanie w szpitalu?

- Przez kilka dni, do pięciu najwyżej. Przebywa teraz na oddziale kardiologicznym na obserwacji, a poza tym powinna odpocząć. Ale to główne powody, dla których zdecydowaliśmy się ją zatrzymać. - Lekarka uśmiechnęła się do Vanessy i spojrzała na siedzącą pod oknem Helenę. - Nigdy nie widziałam równie pięknego dziecka - stwierdziła. -Szczęściara z pani.

- Tak - mruknęła Vanessa, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Pani Fitzgerald się niecierpliwi, żeby was obie zobaczyć. Pozwoli pani, że je zaprowadzę.

Chwilę później Vanessa i Helena siedziały przy łóżku bardzo osłabionej Drucilli, która wyglądała blado i mizernie.

- Przykro mi, Vanesso, że przeze mnie masz tyle kłopotów - powiedziała cicho. - Naraziłam cię na ogromne przykrości.

- Proszę cię, nie mów tak - zaprotestowała Vanessa. - To dla mnie żaden kłopot. Obie z Heleną będziemy cię codziennie odwiedzały.

- Vanessa obiecała, że przyniesiemy ci różne rzeczy: książki i czasopisma - odezwała się Helena i uśmiechnęła się do babci. - No i oczywiście kwiaty.

- Dziękuję ci, kochanie - wymruczała Dru.

- Proszę, nie martw się o Helenę - Vanessa ujęła rękę Drucilli i uściśniła ją. - Jej obecność nie przysporzy mi najmniejszego problemu. I zapewniam cię, że będzie nam dobrze razem.

- A co z twoją pracą... - spytała chora ze strapionym wyrazem twarzy.

- Mogę pracować i jednocześnie zajmować się Heleną -zapewniła Vanessa. - Myśl tylko o sobie i prędko wracaj do zdrowia.

- Sama nie wiem, jak ci dziękować.

- To zupełnie zbyteczne, dobrze o tym wiesz, Dru. Zawsze możesz na mnie liczyć.

- Bill powiedział, że jesteś cudowną kobietą, i jak widzę, miał rację. - Odwróciła na moment głowę, walcząc ze łzami. Zdobyła się na uśmiech, ponownie się do nich zwracając: - Szpital nie jest odpowiednim dla was miejscem. Wybierzcie się dokądś na obiad. Jutro się z wami zobaczę.

- Pół funta ryżu po dwa pensy, pół funta melasy. Gdy dokładnie to wszystko wymieszasz, ani spojrzysz, jak lasiczka wyskoczy! - śpiewała Vanessa, trzymając dziecko za obie ręce i oprowadzając je wokół pokoju.

Ku jej olbrzymiej uldze Helena się roześmiała. Przez cały poranek zalewała się łzami na myśl o przebywającej w szpitalu babci. Atak serca Drucilli, który nastąpił wkrótce po śmierci Billa, był dla dziewczynki zbyt ciężkim przeżyciem.

Vanessa pojmowała niepokój Heleny o najbliższą osobę, nie potrafiła jednak powstrzymać jej łez ani pocieszyć w strapieniu. W każdym razie aż do tej pory. Dopiero dziecinna zabawa sprawiła, że oczy dziewczynki znowu zaiskrzyły się radością.

- Bardzo zabawne słowa - powiedziała Helena. - Co to jest łasiczka?**
- To małe futerkowe zwierzątko z rozłożystym ogonem, które żyje w lesie.**
- Skąd znasz tę piosenkę?**
- Kiedy miałam sześć lat, mieszkałam z rodzicami w Londynie. Moja niania była Angielką. I to ona mnie jej nauczyła.**
- Też chciałabym się jej nauczyć.**
- Oczywiście, Heleno. Powtarzaj za mną: „Pół funta ryżu po dwa penty, pół funta melasy, gdy to wszystko dokładnie wymieszasz, ani spojrzysz, jak łasiczka wyskoczy!”**

Helena jej wtórowała, gdy trzymając się za ręce, okrążały pokój. Za szóstym razem zapamiętała słowa. Roześmiała się wesoło i klasnęła w dłonie: -Zaśpiewam tę piosenkę babci, gdy pójdziemy ją odwiedzić po południu.

- Znakomity pomysł, króliczku.**
- Uśmiech zniknął z buzi dziecka. Dziewczynka się cofnęła, wpatrując się w Vanessę szeroko otwartymi oczami.**
- Czy coś się stało?**
 - Nie nazywaj mnie króliczkiem. Tylko tatuś tak się do mnie zwracał. To on wymyślił dla mnie to imię - zawołała porywczo i wybuchnęła płaczem.**

Vanessa podeszła do niej, objęła ją i mocno przygarnęła do siebie.

- Przepraszam cię, Heleno. Nic o tym nie wiedziałam. Nie płacz, kochanie, bardzo cię proszę.**
- Dziecko jednak nie mogło powstrzymać szlochów i kur. czowo uczepliło się Vanessy, jak gdyby nigdy nie zamierzało jej wypuścić.**

Vanessa głaskała dziewczynkę po plecach, starając się ją pocieszyć, i uciszała, przemawiając uspokajającym głosem. W końcu łkania osłabły i Helena powoli odzyskała spokój. Vanessa posadziła ją na kanapie i sama zajęła miejsce obok. Wyjęła papierową chusteczkę z pudełka na bocznym stoliku, wytarła jej oczy i przytuliła mocno.

- Najwyższa pora, żeby się wybrać do miasta i zjeść po hamburgerze. Co o tym sądzisz?

- Będę mogła zamówić również frytki?

- Oczywiście. - i lody?

Vanessa się uśmiechnęła.

- Jeśli tylko będziesz miała ochotę.

Helena skinęła głową i przygryzła usta, niespodziewanie znowu bliska łez.

- O co chodzi, kochanie?

- Czy babcia... - Jej dolna warga zaczęła drżeć, a na długich rzęsach zamigotały łzy. - Czy babcia umrze?

- Oczywiście, że wyzdrowieje. Nie bądź głuptasem!

- Ludzie umierają na atak serca, Vanesso. Jak babcia Jennifer.

- Kto to jest Jennifer?

- Moja przyjaciółka.

- Otóż zapewniam cię, że twoja babcia nie umrze.

- Ale jest w szpitalu.

- Wraca do zdrowia. Mówiłam ci już, że babcia zostanie tam do piątku, bo musi odpocząć. To wszystko. Atak serca nie był groźny. Zaufaj mi, kochanie, wszystko będzie dobrze.
- W szpitalu naprawia jej serce?
- Tak - przytaknęła Vanessa, posyłając dziecku uspokajający uśmiech.
- Babci pękło serce. Tego dnia, kiedy przyszli do nas ci dwaj mężczyźni.
- Mężczyźni? - powtórzyła Vanessa, zbита z tropu.
- Znajomi tatusia. Z telewizji.
- Och, rozumiem.

120

- Czy tatuś jest w niebie? Vanessa z trudem przełknęła ślinę.

- Tak - udzieliła jedynej odpowiedzi, na jaką mogła się zdobyć.

Dziecko nadal przyglądało się jej bacznie.

- Razem z mamusią?

- Tak, są teraz razem - odparła Vanessa, z olbrzymim wysiłkiem zachowując panowanie nad sobą.

- Kiedy tata wróci?

- No cóż... widzisz... on nie będzie mógł wrócić, Heleno. Zostanie z twoją mamą... żeby się nią opiekować. -

Vanessa odwróciła się i ukradkiem otarła łzy.

Odpowiedź Vanessy najwyraźniej wprawiała Helenę w zakłopotanie. Myślała intensywnie, mocno marszcząc brwi.

- Chcę, żeby również mną się opiekował.

- Rozumiem cię, kochanie, ale to niemożliwe. Będziesz pod opieką babci.

- A jeśli ona też umrze?

- Nie umrze.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem, Heleno.

- Dlaczego tamci ludzie zabili mojego tatusia?

- Bo są bardzo źli, kochanie.

Dziewczynka nie spuszczała wzroku z Vanessy. Po chwili znowu zaczęła pochlipywać.

- Chcę, żeby tatuś do mnie wrócił. Namów go, żeby wrócił, Vanesso.

- Cicho, skarbie, już nie płacz - wymruczała Vanessa, starając się ją uspokoić. - Przecież masz jeszcze mnie. Ja się tobą zaopiekuję.

Dziewczynka odsunęła się na bok i spojrzała na Vanesę.

- Będę mogła razem z tobą zamieszkać? Zaskoczona Vanessa przez moment nie wiedziała, co powiedzieć.

- Musimy najpierw porozmawiać o tym z twoją babcią - oświadczyła wreszcie.

Helena skinęła głową.

- Nie wiesz przypadkiem, dokąd Alice wybiera się na wakacje? - spytała Vanessa, żeby zmienić temat.

116

- **Do Minnesoty. Chce sie zobaczyc ze swoja mama, a takze z siostrami i bracmi. Alice ma jeszcze prababcie i pochodzi ze Szwecji.**
 - _ **Opowiedz mi o niej coś więcej.**
 - _ **Odprowadza mnie i przyprowadza ze szkoły, zabiera do Central Parku i często się razem ze mną bawi.**
- Vanessa oparła sie plecami o kanape i przysłuchiwała sie paplaninie szescioletniej dziewczynki. Stwierdzila Z ulga, że zdolala ją wyrwać z ponurych rozmyślań.**

Rozdział 17

W piątek rano Drucilla Fitzgerald została wypisana ze szpitala w Southampton.

Vanessa i Helena przyjechały po nią, by zawieźć ją z powrotem do domku na wydmach. Po wspólnym lunchu Vanessa odesłała dziewczynkę do pracowni, żeby zajęła się tam rysowaniem i malowaniem. Chciała porozmawiać z Dru w cztery oczy.

- Helena jest uroczym dzieckiem i wielka w tym twoja zasługa - powiedziała, gdy obie odpoczywały przy ziołowej herbacie w salonie. - Bardzo się zaprzyjaźniłyśmy.

Starsza pani z uśmiechem skinęła głową.

- Wiem. Opowiadała mi o tobie i zaśpiewała mi nową piosenkę. Dobrze czuła się w twoim towarzystwie i bardzo się cieszę, że nie sprawiła ci kłopotu.

- Najmniejszego, Dru - zaczęła Vanessa i umilkła. - Sądzę, że... - dodała i pokręciła głową. - Właściwie jest pewien problem, ale nie mam nic przeciw niemu.

Dru zmarszczyła brwi, najwyraźniej wprawiona w zakłopotanie.

- Do czego zmierzasz, moja droga?

- Przypominam sobie, że gdy byłam dzieckiem, niepokoiło mnie wiele różnych rzeczy. Ot, typowe obawy wieku dziecięcego, które teraz przeżywa Helena.

- Martwi się o moje zdrowie, to masz na myśli, prawda? -Tak. Dzieci bardzo łatwo tracą poczucie bezpieczeństwa, gdy ktoś z rodziców jest chore i przebywa w szpitalu. Przypuszczam, że Helena czuje się bezradna i zagrożona.

- Jestem tego pewna. Mam nadzieję, że teraz, kiedy wyszłam ze szpitala, wróci do normy. Obawiam się jednak, że dużo czasu upłynie, zanim... pogodzi się ze śmiercią swojego ojca. - Drucilla stłumiła szloch. Potem dokończyła cicho: - Nam wszystkim zajmie to dużo czasu.

- Tak, to prawda... - Vanessie załamał się głos, podniosła się z'miejsca, podeszła do okna i zapatrzyła się w morze. Miało barwę głębokiego błękitu, a promienie słońca tworzyły smugi na jego powierzchni. W to łagodne majowe popołudnie ocean nie wydawał się już ponury ani nieprzyjazny. Vanessa oczami wyobraźni widziała Billa, o którym nie przestawała myśleć. Skupiła uwagę na jego malej córeczce i w jednej chwili wiedziała, o czym musi powiedzieć

Drucilli.

Odwróciła się prędko, podeszła do kanapy i usiadła obok matki Billa. Posłała jej pełne namysłu spojrzenie i oznajmiła:

- Powiedziałaś mi kiedyś, że nie masz żadnych krewnych. Ciekawa jestem, czy wyznaczyłaś prawnego opiekuna dla Heleny?

Pytanie najwyraźniej nie było dla starszej pani zaskoczeniem.

- Nie, nie zrobiłam tego. Nie myśleliśmy o tym nigdy. Nie było potrzeby. Wiem, do czego zmierzasz, Vanesso. Zastanawiasz się, co stałoby się z Heleną, gdybym umarła, prawda?

- Tak. Jesteś młodą kobietą, Dru, sądzę jednak, że atak serca był w pewnym sensie ostrzeżeniem. Na pewno będziesz dbała o siebie i doczekasz pełnoletności wnuczki. Ale...

- Wypowiadasz moje własne myśli. Zastanawiałam się nad tym, leżąc w szpitalnym łóżku - wyznała Dru. - Bardzo się martwię o Helenę i o jej przyszłość. Jak wiesz mam sześćdziesiąt dwa lata i zamierzam jeszcze długo żyć. Nigdy jednak nie wiadomo, co się może zdarzyć. Życie jest pełne niespodzianek i wstrząsów...

- Czy mogłabyś rozważyć moją kandydaturę? Czy zgodziłabyś się, żebym została prawnym opiekunem Heleny?

- Och, Vanesso. To wspaniale, że wystąpiłaś z tą propozycją, ale czy naprawdę jesteś gotowa wziąć na siebie aż

tak wielką odpowiedzialność? A jeśli osierocę Helenę, gdy będzie jeszcze małą dziewczynką? Czy zechcesz się nią zajmować? Jesteś przecież młoda, masz zaledwie dwadzieścia siedem lat i na pewno któregoś dnia kogoś poznasz. Sprawowanie opieki nad dzieckiem innego mężczyzny może stać się brzemieniem... przeszkodą nie do pokonania.

-Zupełnie inaczej na to patrzę, Dru. Jeśli będę opiekunką prawną Heleny, wywiążę się z moich obowiązków bez względu na okoliczności. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie zdążyłaś mnie jeszcze dobrze poznać. Zapewniam cię jednak, że moje intencje są szczerze i że jestem osobą godną zaufania.

- Och, moja droga. Dobrze o tym wiem. Przecież Bill tak bardzo cię pokochał, a na jego osądzie mogę całkowicie polegać. Poza tym sama trafnie zazwyczaj oceniam ludzi i już od pierwszego dnia, kiedy cię poznałam w „Tawernie na Murawie” podczas świąt Bożego Narodzenia, dobrze wiedziałam, jaką jesteś kobietą. Gdy zobaczyłam Billa tak cudownie odmienionego i szczęśliwego, miałam wrażenie, że z moich ramion zdjęto ogromny ciężar. A teraz ponownie doświadczam tego uczucia. - Dru wzięła Vanessę za rękę i mocno uścisnęła ją w swoich dłoniach. Jej oczy napęłniły się łzami. - Nikomu nie powierzyłabym przyszłości Heleny z większą radością. Wiem, że przy tobie będzie zawsze bezpieczna.

Vanessie również zwilgotniały oczy.

-Dziękuję, Dru. Gdy tylko zdecydujesz się wrócić do Nowego Jorku, przygotuję spotkanie z moim prawnikiem. Albo z twoim, jeśli wolisz. I dopełnimy wszelkich formalności. Czy to ci odpowiada? Pani Fitzgerald przytaknęła.

- Mam nadzieję, że dożyję sędziwego wieku, ale dobrze jest wiedzieć, że czuwasz z dala.

- Chciałabym, żebyśmy spędzały razem więcej czasu. Mogłabym lepiej poznać Helenę, no i oczywiście ciebie. Czy zgodziłabyś się przyjeżdżać tutaj z Heleną co roku na wakacje?

Jeśli Drucilla była zaskoczona tą pozycją, to nie dała tego po sobie poznać.

- Z największą przyjemnością, Vanesso - odparła bez wahania. - Wiem, że Helena będzie czuła się tutaj szczęśliwa. Jest zachwycona tym miejscem.

- A zatem umowa stoi. - Vanessa pochyliła ku matce Billa i pocałowała ją w policzek. - Jest jeszcze coś, o czym muszę ci powiedzieć.

- Słucham?

- Dziś rano zatelefonował Frank. Przylatuje do Nowego Jorku... z rzeczami Billa... z jego pokoju hotelowego w Bejrucie. Chce się jutro z nami zobaczyć. Nie będziesz temu przeciwna, prawda?

Mówienie sprawiło Drucilli niespodziewaną trudność. Skinęła tylko głową i mocniej ścisnęła Vanessę za rękę.

* * *

- Był moim najlepszym przyjacielem. Kochałem go - wyznał cicho Frank, patrząc na matkę Billa. - Wszyscy go kochali. Był nadzwyczajnym człowiekiem.

- Teraz, kiedy go nie ma, nasze życie już nigdy nie będzie takie, jak było - powiedziała półgłosem Dru z wyrazem bezmiernego smutku w oczach. - Ale musimy zachowywać się dzielnie. On by sobie tego życzył.

- To prawda - przyznał Frank. - Bill był najdzielniejszym ze wszystkich znanych mi ludzi. Uratował mi życie. Wiedziałaś o tym, Dru?

- Nie, Frank, nie wiedziałam. Nigdy o tym nie wspominał.

- Za nic by się do tego nie przyznał. Był, na swój sposób, bardzo skromny...

- Wujek Frankie! - zawołała Helena, która pojawiła się w drzwiach w towarzystwie Vanessy. Puściła się biegiem w stronę mężczyzny i rzuciła mu się w ramiona.

Mocno ją do siebie przytulił. Stanowiła część Billa i była tak bardzo do niego podobna. Przez moment poczuł ucisk w gardle i nie mógł wydobyć słowa.

Spojrzał ponad jej głową i napotkał wzrok Vanessy. Sklonił się lekko, a potem uwalniając się z objęć chrześniaczki, podszedł do niej, żeby się z nią przywitać.

- Tak mi przykro, Vanesso.

126

- Mnie również - szepnęła. - Kochałam go, Frank.

- Wiem. I on cię kochał... Mam coś dla ciebie. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kopertę. - Znalazłem to w jego pokoju hotelowym w Bejrucie.

Utkwiła wzrok w zaadresowanej ręką Billa kopercie. „Vanessa” - widniało na niej jej imię. Przygryzła wargę, próbując zapanować nad cisnącymi się do oczu łzami. Przez długą chwilę wpatrywała się w przesyłkę, bojąc się ją otworzyć.

Dru przyglądała się uważnie Vanessie i zaproponowała cichym głosem:

- Pewno wolisz przeczytać ten list w samotności. Jeśli chcesz, zostawimy cię samą.

- Nie - powiedziała Vanessa. - Wszystko w porządku... wyjdę przed dom. - Opuściła salon, obeszła budynek i przeszedłszy przez trawnik, skierowała się ku wydomom, mocno zaciskając w dłoni list od Billa.

Dotarła do zacienionego miejsca, w którym zwykle spędzała czas nad lekturą, usiadła i myśląc ze ściśniętym sercem o Billu, zapatrzyła się w morze.

W końcu otworzyła kopertę i wyjęła list.

Bejrut, poniedziałek, 25 marca 1996 roku Najdroższa Vanesso!

Choć wiem, że już za kilka dni Cię zobaczę i wezmę w ramiona, czuję nieprzepartą potrzebę, by porozmawiać z Tobą i być blisko Ciebie dzisiejszego wieczoru. Dlatego postanowiłem napisać. Zabiorę ten list ze sobą do Wenecji. Przy mnie więc go odczytasz.

Kilka następnych linijek zamazało się jej przed oczami z powodu łez, lecz po chwili zdołała je powstrzymać i czytała dalej:

Nigdy nie potrafiłem wyrazić głębi mojej miłości do Ciebie, Vanesso: kocham Cię całym sercem, duszą i umysłem. Prawie nie ma chwili, żebym o Tobie nie myślał, i zrobię wszystko, aby uczynić Cię szczęśliwą. Obudziłaś mnie na nowo do życia

i nadałaś mu nowy sens. Chcę być z Tobą na zawsze. A Ty, kochanie? Czy zostaniesz moją żoną, natychmiast kiedy to tylko będzie możliwe?

W głębi duszy słyszę, jak z właściwą sobie spontanicznością wypowiadasz słowa: „Och tak, Bill”. Obiecuję, że zawsze będę Cię kochał i otaczał opieką. Wiesz co? Mam pomysł. Zróbmy w Wenecji dziecko. Wiem, jak bardzo go pragniesz. Chcę, żebyś je miała ze mną. Będę się cieszył myślą, że rozwija się w Tobie jakaś cząstka mnie samego. A więc, kochanie, zdecydujmy się podczas tego weekendu w Wenecji.

Nigdy o tym nie mówiłem, ale w czasie ostatnich sześciu lat poznałem, czym jest piekło. Straciłem troje bliskich mi osób: najpierw Sylvie, potem ojca i wreszcie babcię. Ich odejście złamało mi serce.

Ostatnie miesiące przekonały mnie jednak, że złamane serca są najsilniejsze.

Bill

Vanessa długo siedziała nieporuszona, trzymając list w dłoniach. A potem pieczołowicie go złożyła, schowała do koperty, podniosła się z miejsca, wolnym krokiem przemierzyła wydmy i weszła do domu.